



Jaki stonczka powstala ; l. d.

Jak to z brzozy ptarowej, co wyrosła nad notką
Krople rosę świecącej, wienojącej, i cieką
Jaki kie julem obłoki na niebieskim przestworze
Jaki kryte polski o niej Boie, niej Boie.
Jaki terecha przed brami, wian uroja i; wko
Ja nie julem jaktoż a potrofię, tak samo
Teraz małki i; będy, ten małk ogień rozruszaj
Kiechus dozwolki napoży, polececi i; a poterey
Jak to w sobie Boje robot, że ten śliczny uroat
Jak cudnie go ozdobić, byle kicinia stworzył
Tę mnie dat brzożka, z kiożerodnia i; pieszaj
Poży cicho jak mgoka, roznie i; cy ter i; pi jenc
Epi w kolebce - wie; dalej przedko ogień tra skreślac,
Jak się ogień rozpałi poży, wioły uwerole,
Et robotar to muna do workera do ueni.
Platanina och kumidun, tak tam bawie

li z ueni
Matejka mi powiada, że ja wale nie roż
it d.

Pojat przedie of przedie woje nare wlo
Ja uniz tak cicho i moje ter tak będy
Bo ja przecie coi uniom: kadet przedz i przed
I na kiożice rozumiam, i waisiewam w kos

wale
fakem roz na świeżem, ulepila
baranka
Co miał wotng kossou i; telezou

kolauka
To ię bardzo Divious to tak sukia
jak e; wy!

Jak baranek prawdziwy z chorągiewką
czerwoną.

Jak zrobotował co Iny Król Szwajca
Pomysł i Sympa.

Szarnego marmuru ze skarbami
w skatule.

Ze liliją szarą i z liliją
pociskanką

To iż ludzie wierzą w ciałej wiolki
secieli, & ca głowy nie brali

DZIELA DRAMATYCZNE.

Matce wrony nie chcieli.

A gaiki, a wanki w listki sybrone
i tute.

Jakie chcecie romanunki jak najpiękniejszy
upłoty.

Kwiatki lubisz og niesz, Boie dnewko lilije,
o to co tak na liście i na prastki się.

Oj niedobra to córka co się praws
zabawia

Dalejże do podworka, trzeba i wogacie
korowia.

Oj ha Ja, Ja, Ja, i cię.

Matka się bęnie ziewać.

WOLNO DRUKOWAĆ.

Z warunkiem złożenia prawem przepisanej liczby
Exemplarzy w Komitecie Cenzury.

Warszawa dnia $\frac{3}{15}$ Czerwca 1845 r.

CENZOR

NIEZABITOWSKI

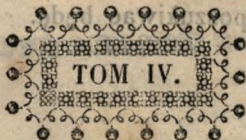
*Proszę mi nie lubo, chciatam sobie
zapisać.*

Egz. archiwalny ISL

DIENIA DRAMATYCZNE

ORYGINALNE

Antoniego Prowans **INSTITUT**
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63



WARSZAWA,

W DRUKARNI T. WYSZOMIERSKIEGO.
przy ulicy Senatorskiej i Żabięj N. 955.

—❦—

1846



INSTITUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 13

Egzemplarzy nie opatrzonych moim podpisem prawnie poszukiwać będą.

1945
TOM IV
KONFERENCJA

WARSZAWA

W DZIAŁACH T. W. KRAJOWYCH
przy ulicy Senatorskiej i Namiotki 1. 1955

2919

SYN EKONOMA



W TRZECH AKTACH ZE SPIEWEM.

OSOBY.



OPIEKÓŃSKI, Właściciel znacznej włości.

ŁUCJA, Jego żona.

BALBINA, Ich córka.

AGAPIT, Ich syn.

KLOTYLDA, Sierota.

ZJAWIŃSKI, Pan możny.

BRONOWŁOCKI, Ekonom Opiekóńskiego.

TEODOR, Syn jego.

JAN, Lokaj Opiekóńskich.

Służba dworska Opiekóńskich.

*(Rzecz dzieje się na Wsi w Dobrach Opiekóń-
skiego.)*

AKT I.

(W pokoju państwa Opiekónskich.)

SCENA 1.

AGAPIT KLOTYLDA.

(Klotyllda siedzi w kącie pokoju, robi pończochę, Agapit na środku struże prątki na klatkę)

KLOTYLDA *(z trwożoną)*

O!.. nieszczęście!.. to zapewne Panicz pociął nożyczkami pończochę, tę co robię... bo pełno w niej dziur; cóż ja teraz biédna poradzę!.. jak Pani zobaczy będę miała dopiero za swoje.

AGAPIT.

Poczekaj ty nieponiu! pruzniaku! tylko Mama przyjdzie, to zaraz powiem że mię posadzasz; zobaczysz co ci za to będzie.

KLOTYLDA

Ja nie mówię koniecznie że to Panicz, ale nie wiem... kto...

AGAPIT.

A któż by? jak nie ty sama, a teraz byś rada spędzić na kogo. (*Łucja z Balbiną wchodzi.*)

SCENA 2.

AGAPIT, KLOTYLDA, ŁUCJA, BALBINA.

AGAPIT.

Mamo!.. Mamo!.. Klotylda pocięła nożyczkami pończochę, tę co robi i jeszcze mię posądza; proszę Mamy żeby za to ukaraną była, jak śmie zarzucać mi....

ŁUCJA (*przerywając do Klotyldy*)

Co ty sobie myślisz? moja kochana... ty widzę chcesz tego żebym cię z domu wypędziła... — Pruźniak!... nie dosyć że pół roku jedną dłubie pończochę...

KLOTYLDA

Proszę Pani... onegdaj ją zaczęłam....

ŁUCJA (*z przedrzyżnieniem*)

Onegdaj... i dla tego masz prawo zepsuć to coś onegdaj zaczęła....

BALBINA.

Może jeszcze moją pończochę?..

ŁUCJA.

A juścić twoją, kochana Balbisiu *(do Klotyldy)* Pokaż! U... ty... ty... pruzniaku...

KLOTYLDA *(zmiészana przystępując)*

Proszę Pani... ja nie wiem kto to zrobił... bo tak jakby naumyślnie w kilku miejscach po wycinano dziury.

ŁUCJA *(oglądając)*

O!... nie dobra dziewczyno!... O!.. nie poczciwego, poczekaj rozmówię ja się z tobą przy zdarzonej okazji, a teraz poszła do kuchni! niebędziesz jadła dzisiaj obiadu za karę.

BALBINA.

I to jeszcze mała kara. Dla tego też że się Mama z nią tak łagodnie obchodzi; to ona co raz to coś nowego zbroi.

ŁUCJA.

Nie długo się już i mnie cierpliwości przebierze. *(do Klotyldy)* Jeszcze stoisz!..

ruszaj mi zaraz do kuchni! za piec. —

AGAPIT (*podskakując na bok z radości*) Chwała Bogu że mi się udało psotę zrobić Klotyldzie! tak ją nie cierpię że na nią patrzeć nie mogę... Dopilnuję żeby nie jadła objadu; a teraz pójdę wleżę na piec i będę na nią pecynami rzucał. (*Klotylda wychodzi za nią Agapit.*)

SCENA 3.

ŁUCJA BALBINA.

ŁUCJA.

Muszę się ją pozbyć z domu, żal się Boże żywić pruzniaka, nic z niej nie będzie, już widzę.

BALBINA.

To by nas o nielitość posądzono, a przecież z miłosierdzia słyniemy.

ŁUCJA.

Prawda i to.

BALBINA.

Ale!.. Lecz -wiem że mi Mama nie ze-

chcesz uwierzyć. Wczoraj mi zarzecz pewną powiadano, że ma kochanka Klotylda.

ŁUCJA.

Co mówisz? radabym wiedzieć kogo, pewnie jakiego oryginała, nie prawda?

BALBINA.

Zawsze swój swojego znajdzie... Syn Ekonomna naszego w niej się podobno pokochał... ha... ha... ha!... godne śmiechu doprawdy.

ŁUCJA,

Alboż on ma takiego syna?

BALBINA.

A podobno że ma... Mówią że szkoły zkończył i na parę miesięcy do Ojca przyjechał... Szkoły skończył syn! Ekonomna!.. i to także do wiary podobne.

ŁUCJA.

Dam ja jej romanse. . jeszcze czego brakowało ażeby taka niedołęga miłością sobie głowę zaprzętała.

BALBINA.

I... nima o czem nawet mówić. Moja

Mamo. O kim to Ojciec wspominał że
ma dzisiaj do nas przyjechać.

ŁUCJA.

Pan Zjawiański, dawny jego znajomy.

BALBINA.

To nie musi być nic młodego... my-
ślałam że jaki chłopaczek.

ŁUCJA.

Jeszcze mało ich masz, moja kochana?...

BALBINA.

Od przybytku głowa nie boli.

SPIEW 9.

Tuzin chłopców to nie wiele,

Niema nawet w czem wybierać.

U nóg każdy niech się ściele,

Z żadnem szlubów nie zawierając.

Z jednym siedzieć trzeba ziewać,

Z czasem można usnąć wcale,

Bo czyż można się spodziewać,

By jednego kochać stale.

Teraz każdy wstręt spotyka,

Chociaż panna jest poczciwa,

Znajdziesz tysiąc niewolnika,
 Gdy wziąć posag się spodziéwa.
 Niech klękają niech hołd biją,
 Niech się płaczą w sieci z złota,
 Niech w niewoli mojej żyją,
 Niech się zwija wciąż chołota.

LUCJA.

Ale i o tém ci trzeba także pamiętać,
 że czas wszystko niszczy, a kobiéta te-
 mu zniszczeniu najprędzej ulega.

BALBINA.

Niech myśli o tém, taka oto dziewczyna
 jak Klotylda, ale ja co mogę mieć
 posag dwadzieścia tysięcy doходу ro-
 cznego przynoszący, wcale myśleć nie
 powinnam; dla mnie mąż najpiękniej-
 szy i z najlepszemi zdolnościami, kiedy
 już lat trzydzieści mieć będę, na zawo-
 łanie się stawia i jeszcze się nazwie szczę-
 śliwym gdy go zechcę za męża.

LUCJA.

Nie zawsze tak moja duszo bywa.

SPIEW 2.

Czasem panna posag liczy,
 I iść za mąż z serca życzy,
 Jednak się już zestarzała,
 Bo zbyt długo wybierała.

Po grymasić czasem można,
 Ale zawsze bądź ostrożna,
 I pamiętaj na przysłowie,
 Które każda dzisiaj powie:

„Na los starej panny padła,
 I na koszu sobie siadła,
 Bo w młodości wybierała,
 A w ostatku nie dostała.”

BALBINA.

Zemną tego nie będzie.

ŁUCJA.

Daj Boże... przecież wiesz że cię z du-
 szy kocham i najlepszego losu ci życzę,
 bo cóżbym wreszcie za Matką była ale.,
 (*Opiekóński wchodzi*)

ŁUCJA.

SCENA 4.
CIŻ i OPIEKÓNSKI.

BALBINA.

Kochany Tatko dobrodziej.... a co...
 czy pojedziemy dzisiaj gdzie z wizytą?

OPIEKÓNSKI

Nie duszko... dziś nigdzie nie mogę
 odjeżdżać, bo przecież wiesz że się go-
 ścia spodziewam.... a gościa który mi
 wielkie przywiezie nadzieje.

LUCJA.

Ciekawam?..

OPIEKÓNSKI

Że jesteś ciekawą, to niema w tém nie
 szczególnego, niebyłabyś kobieta.

LUCJA.

Tylko bez przymówek, bardzo proszę.

OPIEKÓNSKI

Jeżeli przymówkami prawdę nazy-
 wasz, to co innego.

BALBINA.

Tatko jakoś dzisiaj jest w złym humorze?

OPIEKÓŃSKI

Wystawcie sobie, jaki psotnik z tego Agapitka. Wlazł na piec, przyspobił sobie pełen koszyk pecyn i po jednej na Klotyldę siedzącą za piecem ciskał. A ta wrzeszczy jak by ją kto najał. Wysturchałem ją za to porządnie.

LUCJA (*uśmiechając się*)

Wielki psotnik z tego Agapitka, zapewne się będzie uczył dobrze, bo jest bardzo swawolny.

BALBINA.

Że też to Mama nie nie powie temu podrzutkowi. Powinna mieć sobie za szczęście że się z nią dziecko pańskie bawi, a ona jak by jaka równa w urodzeniu, śmie krzyki wyrabiać.

OPIEKÓŃSKI (*do Lucyi*)

Wspomniałaś moja żono o nauce Aga-

pitka... Zapewne że trzeba by i to koniecznie odwieść go do szkół, bo może już i czas jest; lat szesnaście skończył w przeszłym miesiącu.

ŁUCJA.

E... dajiesz, pokój mój kochany... takie dziecko do szkół oddawać. Zapewne że by złych skłonności nabrało.... Dosyć dla niego czasu.— Będzie miał majątek to niepotrzebuje się tak wcześnie nad nauką mozolić... Co innego ten gmin, tych mówię dzierżawców i Ekonomów dzieci, niech się od lat ośmiu nad nauką męczą, bo ona ma stanowić dalsze ich mienie. Ale naszemu tak wczas... niech się dziecko dobrze podchowa w domu.... Za lat cztery... pięć... to co innego. Nie bój się, on przy swoim pojęciu za parę lat nauczy się tego; czego drugi za dziesięć nie zdoła.

2*

OPIEKÓŃSKI

Z resztą jak chcesz tak niech będzie.
(*Jan wchodzi*)

SCENA 5.

CIŻ i JAN.

JAN.

Już śniadanie na stole.

OPIEKÓŃSKI

Chodźmy.

LUCJA (*do Jana*)

Idź poproś Panicza na śniadanie. —

Wszyscy wychodzą, po chwili wchodzi Klotylda.

SCENA 6.

KLOTYLDA (*sama ogląda się na wszystkie strony*) Państwo już poszli na śniadanie, chociaż kawę niedawno pili... a ja głodna objadu jeść nawet nie będę. (*po chwili*) Mój Boże! cóż ja też zawiniłam na świecie, że tak srogo prześladowaną jestem! Nie mam rodziców... nieznałam ich nawet... niema się kto uli-

tować nademną.— Państwo mię wychowali Im się wdzięczność należy odemnie, ale dla czegoż pozwalają tyrańsko wszystkim ze mną się obchodzić?... przecież ja Im i tak byłabym wdzięczną a nawet wdzięczniejszą, gdyby mi czasami oko łaskawe pokazali. — Mnie się żalić na największą krzywdę nie wolno... Nie masz litościwej duszy której bym moje cierpienia powierzyć mogła.—Każdego się boję! W Tobie tylko Boże cała moja nadzieja spoczywa, bo Ty jesteś biednych... uciśnionych i sierot Opiekunem. Ty ich chociaż nie zaraz, to z czasem pocieszysz, jeżeli tylko cierpliwie los swój jaki im przeznaczyłeś i bez szemrania znoszą.

SPIEW 3.

Jakże bym wiele nieszczęsną została?

Gdybym sarkąta na los co mię gniecie,

Gdybym dobroci najwyższej nie znała,

I szczęścia tylko szukała na świecie.

Tak tych co błyszczą w bogactwach i złocie,
Lub tych co z męztwa, godności swej słyną,
Tak i sieroty zawałanej w błocie!....

Bóg równym Ojcem.... łaski ją nie miną.

Taż sama ręka co bogactwa raczy,
Wśród boju męztwa, odwagi dodaje,
Co zbrodniarzowi występki przebaczy,
Także biednemu chleba co dzień daje.

Tak motyl piękny rokoszy używa,
Jak żaba w kale bawi się szczęśliwa,
I żmija pokarm dostać się spodziéwa,
Wszystkim Bóg jeden, to jest nie wątpliwa.

(Teodor wchodzi)

SCENA 7.

KLOTYLDA TEODOR.

KLOTYLDA

Po cóż to przyszedłeś Panie Teodo-
rze?....

TEODOR.

Ojciec mię przysłał za interessem do Pana.

KLOTYLDA

Tylko co na śniadanie poszedł...

TEODOR.

Zaczekam przez chwilę.

KLOTYLDA

Chyba wyjdź Panie Teodorze, a później przyjdiesz, — albo zostań a ja wyjdę.

TEODOR.

Dla czegoż niecheesz razem ze mną zostać?

KLOTYLDA

Doprawdy... tak nie wiem.

TEODOR.

Musisz mię nienawidzić?

KLOTYLDA

Sierota opuszczona od ludzi... alboż ma prawo nienawidzić kogo? ale jej też i lubić nie wolno.

TEODOR.

Nie jesteś opuszczoną od ludzi, bo przecież ja jestem człowiekiem; a do śmierci chcę być przy tobie.

KLOTYLDA

Tak ci się zdaje...

TEODOR.

Nie wierzysz mi?

KLOTYLDA

Niewierzyć bym nie śmiała, a wierzyć się boję.

TEODOR (*przystępując do Klotyldy*) Klotyldo! chciej mi ufać! nie lękaj się tego; jabym miał skrupuł zwodzić tak niewinną istotę jaką ty jesteś... Ja ciebie bardzo kocham!

KLOTYLDA

I dla czego mię Pan kochasz? Niepowinieneś mię kochać, ja jestem biedną, opuszczoną sierotą!... ja nie mam Rodziców!... Urodzenie moje jest dla mnie tajemnicą! Tutaj, w tem domu, od wszyst-

kich wzgardzona!... nie znam świata... bo mi go znać nie wolno... tak jak bym już do niego nie należała, a w najmniejszym guiewie każdy mi powie: „podrzutku!” Ty zaś masz Ojca który cię kocha, twoim losem jest zajęty, pragnie cię widzieć szczęśliwym... ty mówię znaleźć możesz wiele takich, których kochać będzie ci wolno i oném wzajemność nie będzie wzbronioną.

TEODOR.

Droga Klotyldo!.. ty nie znasz miłości!.. ona nie może być żadném prawem przepisaniem ujarzmoną.— Nie my nią, ale ona żądzi nami.

KLOTYLDA

A rozum od czego?

TEODOR.

Rozum w tenczas stawia opór miłości, kiedy spostrzeże że taż miłość, w niewłaściwą wybiera się drogę.

KLOTYLDA

Właśnie że twój rozum w tej chwili, z tego samego powodu z obroną ci winien pośpieszyć.

TEODOR.

O!... nie!.. mój rozum w raz z sercem jednogłośnie wyrzekł to, co do śmierci zmianie nie ulegnie.

KLOTYLDA

Młodym jesteś jeszcze mój panie Teodorze, dla tego tak mówisz, ale za lat parę sam się rozśmiejesz z dzisiejszego szalu, bo tę miłość tak niezawodnie nazywać będziesz.

TEODOR.

Jestem młody, to prawda ale znam siebie dobrze i wiem że jestem w moim przedsięwzięciu stały.



SPIEW 4.

Tobą ja zajęty cały,
W tobie szczęście przyszłe widzę,
Zawsze będę ręce stały,
Bo z przewrotnych ludzi szydę.

Chociaż jesteś nieszczęśliwą,
Zawsześ godną jest kochania,
Twoja dusza zbyt cnotliwa,
Miłości przystępu wzbrania.

Ach! ty życia ma połowo,
Nie będziesz już opuszczoną,
Wzajemności wyrzecz słowo,
A zostaniesz moją żoną.

Widzisz ojca, matkę, we mnie,
Niemi zostać chcę z ochotą,
Niech nie błagam nadaremnie,
A nie będziesz już sierotą.

**Moja Klotyldo, usłuchaj méj prośby,
a będziemy oboje z sobą zupełnie szczę-
śliwi.**

KLOTYLDA.

Ja nie mam prawa sobą rozrządzać; mój los przyszły spoczywa w rękach moich Opiekunów.... ja jestem sierotą!

TEODOR.

Będę ich na kolanach błagał!... będę mówię żebrał ich litości... ażeby mi nie odmawiali rzeczywistego szczęścia mojego.

KLOTYLDA.

Mój panie Teodorze... dobrym jesteś chłopcem, nie przeczę temu, kiedy cię skłonność uniosła do biednej nieszczęśliwej i opuszczonej sieroty; ale zastanów się, jaki wielki przedział jest pomiędzy nami. Czyby twój Ojciec który jak wszyscy inni marzą, o wielkości swojego dziecięcia pozwolił na to?... a wtenczas jakżeby mi było bolesno, gdybym ci dała słowo moje, a ty byś go sam lub zwoli Ojca odrzucił.— Wierzaj

mi Teodorze, że nie tyle boli nędza i jednostajne cierpienia, jak wzgarda gdy ją człowiek niewinnie od drugich doznaje.

TEODOR.

Ojciec mię kocha i w niczem się nie sprzeciwi co uzna, że moje przyszłe szczęście stanowi.

KLOTYLDA.

Ta też właśnie kwestja stawać ci na przeszkodzie będzie; bo jakiegoż spodziewać się może szczęścia z połączenia się twojego ze mną? ja jestem biédną, prócz dwóch płucienkowych sukienek, które nawet są własnością moich Opiekunów, nie więcej niemam i mieć niemożę na świecie.

TEODOR.

W pocie czoła będę pracował na ciebie... jestem młody, silny i zdrowy, a będziemy szczęśliwi... *(bierze Klotyldę za rękę)* Klotyldo! bój się Boga! nie odpychaj

mię od siebie! bo ja cię kocham nad życie. (*Agapit wchodzi*)

SCENA 8.

CIŻ I AGAPIT.

AGAPIT (*rozgniewany że zastał w pokoju Klotyldę*) Jak śmiałaś wyjść z kuchni, kiedy ci Mama za karę w niej siedzieć kazała? ruszaj mi tam zaraz!...

TEODOR (*zdziwiony i zmieszany na stronie*) Jak ten malec śmie w ten sposób przemawiać do mojej Klotyldy?...

KLOTYLDA (*do Agapita.*)

Przecież Panicz wie o tém, że Pani pozwala mi siedzieć w tym pokoju, w ten czas kiedy ją niema.

AGAPIT (*z przedróżnieniem*) Zapewne... dla tego żebyś sobie ze wsi sprowadzała kochanków i tutaj w nieobecności Mamy romansowała.

KLOTYLDA *(na stronie.)*

O!.. ja nieszczęśliwa!... gotów mię wten sposób oskarżyć.

AGAPIT.

Widziałem jakęście się całowali....

TEODOR.

Paniezu!... chociaż jesteś synem Pańskim, jednakże niepoważaj się z potwarzać biednej dziewczyny, która dla tego że jest sierotą, niewinnie prześladowaną być nie powinna.

AGAPIT *(przedrzyżniając.)*

Skądżeś się wziął chwacie?.... Wiedzicie go jaki śmiałek... będzie w pokoju mojej Mamy, tak mówił do mnie zuchwale.

KLOTYLDA *(do Teodora.)*

Wyjdź stąd panie Teodorze!... nie ujmuj się za mną! bo jeżeli tém nie pogorszysz, to pewnie nie złagodzisz méj sprawy.

AGAPIT *(do Klotyldy.)*

Dobrze!.. dobrze!.. poczekaj, tylko Mama przyjdzie, to zaraz powiem że poddawiasz swojego kochanka, żeby mi głupstwa wygadawał.

KLOTYLDA.

Ależ chyba nie dobrze Panicz słyszałeś?...

AGAPIT.

Cóż ty sobie myślisz!... jeszcze mię będziesz głupim nazywała! *(zaczyna przeraźliwie krzyżeć)* Mamo!... Mamo!... Mamo!... Tato.... Tato!... Zobaczysz co ci będzie tylko przyjdzie Mama i Tata.

KLOTYLDA.

O! ja nieszczęśliwa!... *(do Teodora)* Wyjdź panie Teodorze!...

TEODOR.

Niewyjdę stąd!... ja ciebie w takim położeniu opuścić nie mogę. *(Lucja i Balwina wbiegają.)*

SCENA 9.

CIZ, ŁUCJA i BALBINA.

ŁUCJA (*wbiegając do Agapitki z troskliwością*;) Agapitku!... Agapitku!... cóż ci się to stało?... moje dzieci kochane.... czyś się czego przestraszył?...

BALBINA (*zobaczywszy Teodora na stronie*) Cóż to za jeden?...

AGAPIT (*ociérając oczy, z udaniem płaczem*) Moja mammo.... Klotylda powiedziała na mnie trzy razy głupi i podmawiała swojego kochanka, z którym się całowała jak wszedłem, a żeby mi wymyślał; on też różne niedorzeczności mi wygadywał, a gdy mi zawołał na Mamę, wziął mię dwa razy za ucho.... O!... patrzaj Mama jakie czerwone...

TEODOR (*śmiało*)

Fłasz! i wierutne kłamstwo!... jak Panież śmiesz tak czelnie zmyślać?

AGAPIT.

O! widzi Mama! przy Mamie a jaki hardy...

LUCJA (*w uniesieniu*)

Go to za jeden!...

TEODOR.

Jestem synem biednego Ojca, ale nie śmiałbym w obec Niego kłamstwa popełnić...

BALBINA (*do Agapita*)

Zawołaj strużów i każ go ochłostać, razem z jego kochanką.

TEODOR (*do Balbiny*)

Jakto?... Pani w ten sposób się odzywasz?... Kobięta!... Panna tak młoda!.. mogłaby bez trwogi patrzeć jakby drugich podobnych jęj ludzi, choćby najsprawiedliwięj karano?...

BALBINA.

To nie nie pomoże... pójdę po Ojca.

LUCJA.

Zapewne.... idź kochanie.... *(Balbina wychodzi.)*

SCENA 10.

CIŻ PROCZ BALBINY.

AGAPIT *(na boku skacząc (zradości)* Chwała Bogu!... będą karani!.. będą karani!.. to!.. to!.. to!.. ja lubię.

LUCJA *(do Klotyldy)*

Jak śmiałaś pozwalać tu wchodzić obcemu człowiekowi?.... zaraz mi powiedz! kto on jest?

TEODOR,

Niepotrzebowałem by mię kto tutaj wprowadzał, bo ja sam wszedłem za interessem do Pana i czekałem aż zje śniadanie.... Jestem synem Ekonoma tutajszego.

LUCJA (*z uniesieniem*)

Syn ekonoma!... To to ty jesteś synem ekonoma! i odważasz się być taki śmiały!...

AGAPIT.

Zastałem go że siedział na krzeselku i klotyldę na kolanach trzymał, (*Agapit powiedziawszy jakie kłamstwo, skacze na boku z radości.*)

LUCJA

Siedział na krzeselku!... no proszę... i na kolanach trzymał!... poczekaj niegodziwcze!... (*do Klotyldy*) W tym tygodniu już się z tobą skończy, wypędzę na cztery wiatry! ale pierwój przyzwoicie ukarać rozkażę.

AGAPIT.

Ona mówiła, że się Mamy nie a nie nie boi.

LUCJA.

Zobaczymy...

TEODOR.

Możesz Pani oddać Klodyldę....
znajdzie ona dla siebie przyzwoite
schronienie, ale karać ją nie możesz, bo
ona jeszcze na żadną karę w swem ży-
ciu nie zasłużyła.

ŁUCJA.

Może ty nie pozwolisz?... hę!...

TEODOR.

Ja się spodziewam, że Pani sama nie-
sprawiedliwie biednej sieroty karać nie
zechcesz, ale jeżeliby tak koniecznie być
miało, to do ostatniej kropli krwi bro-
nić ją nie przestanę.

ŁUCJA (*uśmiechając się szydersko*)

A ciebie kto bronić będzie?

TEODOR.

Ja mam Ojca, On się upomni za
mną gdyby mi kto krzywdę wyrzą-
dził... ale za nią kto?... ja przysięgłem
i dopełnię tego. (*W tém wchodzi Opiekón-
ski, a za nim Balbina.*)

SCENA 11.

CIŻ, OPIEKÓŃSKI i BALBINA.

OPIEKÓŃSKI (*wbiegając zadyszany*)

Gdzie on jest!... kto on jest!... dawajcie mi go tutaj!... w moje ręce!... ja go w waszych oczach zaraz nauczę, jak dom pański szanować.

BALBINA (*pokazując Teodora*)

Oto jest... Ten sam...

TEODOR (*stawając przed Opiekóńskim spokojnie*) Czy pan dobrodziej chciałeś mię widzieć?... jestem na pańskie rozkazy.

OPIEKÓŃSKI (*zmięszany śmiało postawą Teodora cofa się w tył*) Cóż to za jeden! skąd on się wziął?

TEODOR.

Jestem synem pańskiego Ekonoma; niedawno ze szkół wróciłem, przeto nie jestem tu jeszcze znany nikomu.

OPIEKÓŃSKI (*przychodząc do siebie.*) Syn Ekonoma!... mego!... taki śmiały!... u mnie!... u swojego Pana!...

TEODOR.

I syn Ekonoma, lękać się tylko powinien występku, ale niepodobnych mu ludzi.

OPIEKÓŃSKI (*do Agapita.*)

Idź kochanie, każ Janowi zawołać trzech chłopów; ja jego nauczę. (*Agapit z radością, szybko wybiega.*)

SCENA 12.

CIŻ PRÓCZ AGAPITA.

TEODOR (*do Opiekóńskiego*)

Jakież to lekeje Pan umiesz wykładać, w obecności trzech chłopów?

ŁUCJA.

Patrzaj, jaki śmiały!...

OPIEKÓŃSKI (*do Teodora.*)

Zobaczysz jak przyjdą.

TEODOR (*nieco mocniej*)

Ja teraz chcę wiedzieć....

KLOTYLDA (*ztrwożona do Teodora*) Panie Teodorze!.... co robisz!.... zapominasz się!

OPIEKÓŃSKI (*do Klotyldy*)

O!... niewiniątko udane! i z tobą niedługo się skończy; każę ochłostać i z domu wypędzę...

TEODOR.

Jak możesz Panie obiecywać to, czego nigdy spełnić nie zdołasz. — Nie ufaj w siłę swych chłopów, bo i oni staną się nieposłusznymi, gdy im twą niesprawiedliwość przedstawię.

OPIEKÓŃSKI.

Jakto!.. chciałbyś mi może chłopów bontować!... Natychmiast wypowiadam twojemu ojcu miejsce... zatrzymać roz-

każę cały wasz majątek, nawyrachować się mogące szkody z jego nie dozoru w służbie. (*Jan wchodzi*)

SCENA 13.

CIŻ i JAN.

JAN.

Jakiś Pan powozem wjeżdża na dziedziniec.

OPIEKÓŃSKI (*zmiészany*)

Już wiem kto!... pewnie Pan Zjawiński. — Balbisiu idź do swojego pokoju, przebierz się... Żono zadysponuj śniadanie (*do Teodora i Klotyldy*) Wychodźcie! do jutra sprawa... wasze szczęście że gość zajeżdża. (*Klotylda Teodor i Jan jednemi, Balbina i Łucja drugimi drzwiami wychodzą, a po chwili wchodzi Zjawiński.*)

SCENA 14.

OPIEKUŃSKI ZJAWIŃSKI.

ZJAWIŃSKI.

A... przecież stanąłem już u ciebie kochany przyjacielu... po tak długiej podróży.

OPIEKUŃSKI. *(z czułością)*

Jakże... mi się masz kochany panie Zjawiński?... dawnośmy się nie widzieli z sobą i gdybym nie był twym listem uprzedzony, ani bym cię poznał *(wspólne uściśnienia)*

ZJAWIŃSKI.

Podstarzeliśmy się obydwaj potężnie. Czas piętnuje bez skrupułu lata na czoło... bo i ty widzę już znacznie posiwiąłeś. Mój Boże! tak się zdaje nie dawno a to już lat dwadzieścia, jak niewidzieliśmy się z sobą i tyle już zmiany znajdujemy w sobie.

OPIEKÓŃSKI.

Ty zawsze musisz być młodszym Przyjacielu odemnie.

ZJAWIŃSKI.

Nie wiele... ja mam dziś lat czterdzieści jeden, a ty wiele sobie liczysz?

OPIEKÓŃSKI.

O! ho! mnie się już piąty krzyżyk wprzeszłym roku skończył.

ZJAWIŃSKI.

Czy tak?.. prawda... obydwaj już byliśmy wtenczas żonaci....

OPIEKÓŃSKI.

Prawda że to i ty już miałeś żonę, ale słyzałem że ci umarła?...

ZJAWIŃSKI.

Nie wspominaj mi o tém co bym rad w grubej nie pamięci zagrzebać.

OPIEKÓŃSKI.

No i jakże ci się teraz powodzi? kochany przyjacielu...

ZJAWIŃSKI.

Nie tak bardzo zle... kupiłem sobie piękne dobra, które mi czynią netto czterdzieści tysięcy dochodu rocznego.

OPIEKÓŃSKI.

I czemuż się nie żenisz?

ZJAWIŃSKI.

Jakoś... dotąd o tém nie pomyślałem jeszcze...

OPIEKÓŃSKI.

Muszę cię koniecznie wyswatać, to nie nie pomoże. Siadajże kochany przyjacielu. (*Agapit wchodzi*)

SCENA 15.

CIŻ i AGAPIT.

AGAPIT (*nie spostrzegając Zjawieńskiego*) Kochany Tatu! nie trzech ale trzynastu chłopów zprowadziłem!.. Gdzież się podział ten zuchwały jego-
mość?

OPIEKÓŃSKI (*udając że nie słyszy, do Zjawińskiego*) Rekomenduję ci panie Zjawiński syna mojego... Już ma lat szesnaście, ale rozum nad lata! chwat chłopak; znać że syn starego żołnierza... a przytem jedynek.

ZJAWIŃSKI (*westchnąwszy głęboko*) Zapewne się pięknie uczy kawaler?...

OPIEKÓŃSKI.

O... powiadam ci, że jaki jest pojętny i roztropny, to nieraz do zastanowienia.. Wiem że się sam zdziwisz.

ZJAWIŃSKI

Szkoda że do szkół niechodzi.

OPIEKÓŃSKI.

Dosyć czasu.. on za pare lat to zrobi, czegoby drugi za dziesięć zrobić nie potrafi. (*Bronowłocki wchodzi.*)

SCENA 16.**CIŻ i BRONOWŁOCKI.**

OPIEKÓŃSKI.

Cóż mi tam powiesz nowego panie Bronowłocki?

BRONOWŁOCKI.

Mój syn użala się przedemną, że doznał niesprawiedliwej zniewagi od Pana. Przyszedłem więc usprawiedliwić jego postępowanie, bo mój syn nigdy nie nagannego jeszcze w swém życiu nie zrobił, przeto ma prawo żalić się przed Ojcem.

OPIEKÓŃSKI (*zmięszany*)

Potém... potém, będzie o tém sprawa.

BRONOWŁOCKI.

Nie Panie... ojciec za swoim dzieckiem albo zaraz upomnieć się winien, gdy niesprawiedliwie skrzywdzone zostanie: albo natychmiast ukarać jeżeli

się być godnym kary okaże; ażeby tém samém go przekonać, że jak niesprawiedliwie nigdy prześladowaném być nie powinno, tak równie, że każdy występki karany być musi.

OPIEKÓŃSKI.

Ależ... nie teraz czas do sądenia spraw przecież pan widzisz że mam gości.

ZJAWIŃSKI.

Dla mnie... nie rób sobie panie Opiekóński subjekeyi.

OPIEKÓŃSKI (*do Zjawieńskiego*)

Ale to są rzeczy bardzo małej wagi, nie warto nawet teraz o nich wspominać...

BRONOWŁOCKI.

Kiedy małej wagi, dla czegoż zamierzyłeś Panie surowo ukarać syna mego i na ten cel sprowadzić kazałeś gromadę chłopów, przez co już cała wieś wie o tém, że syn ekonoma zasłużył na haniebną karę we dworze, kiedy aż chło.

pów trzynastu w tę sprawę wmięszano.

AGAPIT.

Patrzaj jaki śmiały...

ZJAWIŃSKI (*do Agapita*)

Fe! panie kawalerze, nie należy się nigdy dzieciom mięszać do spraw starszych. Ojciec wie najlepiej co ma zrobić, a ten Pan chociaż służy za ekonoma u twojego ojca, jest zawsze starszym i należy mu się szacunek od ciebie.

AGAPIT (*na stronie*)

Tak... zapewne... jeszcze by czego brakowało. (*odchodzi*)

SCENA 17.

CIŻ, PRÓCZ AGAPITA.

OPIEKÓŃSKI (*do Bronowłockiego*)

Pofatyguj się panie Bronowłocki do mnie za parę godzin, a zadowolę twoje rządanie.

BRONOWŁOCKI (*do Zjawińskiego*)
 Jak mucha lgnie do słodkiego pokarmu, tak człowiek przyczepia się drugiego gdy w nim znajduje człowieka. Dla tego też upraszam Cię Panie, ażeby ta sprawa w obec ciebie osądzoną była, a wiem że się nie powstydzę synem...

OPIEKÓNSKI (*żywo*)
 Twój syn naszedł moje mieszkanie, w chęci uwiedzenia dziewczyny którą na wychowaniu mamy! a kiedy był oto przez mojego syna strofowany, poważił się go lżyć słowami nieprzyzwoitemi! a nawet wytargał go za uszy! W obec mojej żony, nieprzyzwoicie się wyrażał! a nawet kiedy mię przywołano, hardo się stawił i do ostateczności zmusił.

BRONOWŁOCKI.
 Nie śmiem Panu zarzucać niesprawiedliwego oskarżenia, a wierzyć w żaden sposób nie mogę; ale najlepiej ta okoliczność się sprawdzi przy naocznej kon-

frontacyi, oskarzonego z oskarzającemi.
(odwraca się do drzwi, takowe uchyla i woła)
 Teodor!... Teodor!...

OPIEKÓŃSKI *(cierpko)*

Ależ... proszę cię mój panie Bronowłocki! nierozpoczynaj sądów! wtenczas kiedy ja nie mam czasu i wcale czemś ważniejszym jestem zajęty.

ZJAWIŃSKI *(do Opiekóńskiego)*

I cóż ci to szkodzi mój przyjacielu, że się ta okoliczność zaraz wyświetli?... Będiesz spokojniejszym, kiedy się przekonasz o prawdzie.... A jeżeli tak jest jak go przed tobą oskarżono, ojciec zawstydzony nie zostawi syna bezkarnie.

OPIEKÓŃSKI.

Kiedy to wszystko nateraz nie potrzebne, dosyć czasu będzie i później.
(Teodor wchodzi.)

SCENA 18.

CIŻ i TEODOR.

BRONOWŁOCKI (*do Teodora*)

Słuchajno ty!... Mój Pan oskarża cię żeś się nie przyzwocie obszedł w Jego domu!... żeś przyszedł bałamucić panniekę na wychowaniu u Niego będącą! żeś wyrazów nieprzyzwoitych do Jego Syna używał!... a nawet poważyleś się go dotknąć złośliwie!... żeś nie znał dla samej Pani należnego respektu i w obec Pana hardo się stawileś. Masz mi się tutaj albo zupełnie z tego zarzutu wytłomaczyć, albo cię potężnie po ojcowsku ukarzę.

TEODOR.

Bądź pewnym Ojczy, że mię najczelniej oskarżono, to wszystko jest kłamstwem.

OPIEKÓŃSKI (*do Zjawińskiego,*)

Patrzaj! on mi kłamstwo zarzuca.

ZJAWIŃSKI.

Pozwólmy mu, niech się tłumaczy.

OPIEKÓŃSKI.

Co też ty masz za satysfakcję, bredni gminnych słuchać.

ZJAWIŃSKI.

Dla tego że sam w swoich dobrach jestem sędzią, i lubię cierpliwie wysłuchać i sprawiedliwie osądzić.

TEODOR.

Ojciec kazał mi zapytać się Pana jaką liczbę nająć do żniwa bandosów, (*) przyszedłem tutaj lecz nie zastałem Pana w pokoju, a panienka... ta biedna sierota.. sama tylko będąc; oświadczyła, że Państwo na śniadanie poszli. — Interes był pilny, zatrzymałem się więc... po chwili wszedł pan Agapit i niespra-

(*) Najemniki z dalszych stron przybyli do żniwa.

wiedliwie posądził pannę że ze mną romansuje i obiecał tak oskarżyć przed Panią. Taka pogroźka ztrwożyła ją biędną, musiałem więc zatrzymać się ażebym usprawiedliwił moje przybycie;— czem pan Agapit uniesiony, zaczął przeraźliwie krzycząc, Pani rozgniewana weszła, a niechcąc wysłuchać mojego tłumaczenia, uwierzyła najniesprawiedliwszém skargom pana Agapita i strwożoną siérotę ukarać obiecała. — Ujrzawszy się najniewinniejszym sprawcą zmartwienia tak nieszczęśliwej Istoty, wziąłem sobie za obowiązek nieodstępować ją, dopóki nie wyjaśnię całą tę okoliczność ale i Pan przyszedł zabardzo rozgniewany i także nie dał mi sprawiedliwego złożyć tłumaczenia, a nawet miałem być z pomocą chłopów karany, i nie wiem doprawdy jakby się była ta sprawa skończyła, gdyby lokaj nie dał być znać że Pan dobrodziej zajężdża. Bę-

dać jednakże niespokojnym o pannę Klotyldę, opowiedziałem Ojcu zajście jakie miałem we dworze i prosiłem by poszedł przekonać Pana o Jej niewinności.

OPIEKÓŃSKI *(do Zjawńskiego.)*

Upewniam cię przyjacielu, że to jest historia naprędce ułożona.

BRONOWŁOCKI.

A mnie się zdaje Panie, że mój syn sprawiedliwie się tłumaczył; lecz jeżeli...

OPIEKÓŃSKI *(z niecierpliwością przerywając)* No.. no! już tak jest jak chcesz! daj mi pokój!.. uwolnij mnie od siebie.

BRONOWŁOCKI.

Dobrze... ale potrzebuję pierwszej jeszcze zapewnienia, że sierota z przyczyny mojego syna karana nie będzie; bo krzywdy wyrządzonej sierocie, Bóg nigdy nie przebaczy.

OPIEKÓŃSKI.

Dobrze... przyrzekam...

BRONOWŁOCKI.

Słowo honoru?...

OPIEKÓŃSKI.

Słowo honoru.

TEODOR.

Pańskiemu słowu trudno nie zaufać i ja wierzyć muszę. Ale Pani! panna Balbina!... pan Agapit!...

OPIEKÓŃSKI.

Ręczę was słowem chonoru, że nikt jej słowa z tej przyczyny nie powie.

BRONOWŁOCKI *(do Teodora)*

No, kiedy Pan tak mówi, to podziękój i chodź, nie przeszkadzajmy Panom, a o reszcie pomówimy później. *(wychodzą)*

SCENA 19.

ZJAWIŃSKI OPIEKÓŃSKI.

ZJAWIŃSKI.

Cóżto za sierotę masz na swoim wy-

chowaniu, o którą cała sprawa się toczy.

OPIEKÓŃSKI.

E... to jedna biędna dziewczyna, ale niema nawet o czém mówić.—No... proszę cię kochany przyjacielu, do drugiego pokoju, bo moja żona niecierpliwa oddawna ciekawa Cię widzieć.—Proszę.

(Zjawiński idzie zamysłony na przód, Opiekóński za nim.)

(Kortyna zapada)

SCENA VI. WSTĘP PIERWSZEGO.

ZJAWIŃSKI OPIEKÓŃSKI

ZJAWIŃSKI

AKT II.

(We dwa dni po Akcie pierwszym.)

SCENA 1.

(W pokoju Łucji.)

ŁUCJA BALBINA.

ŁUCJA.

No i jakże ci się nasz gość spodobał?

BALBINA.

Nie jest już wprawdzie pierwszej młodości, ale bardzo przyjemny, może się jeszcze podobać... Z resztą czterdzieści tysięcy rocznej intraty, pięknie się można utrzymać; nawet mój majątek mógłby zostać nie tkniętym, a w ra-

zie śmierci starego męża, jeszcze by się dobrą karierę zrobiło.

LUCJA.

Niewiem dla czego, chce koniecznie widzieć Klotyldę?

BALBINA.

Już by też Mama dzieciństwo zrobiła, żeby tego kopciucha prezentowała. Różne głupstwa zwykły się trafiać na świecie i on by gotów na starość zwarjować. Oto byłaby dopiero piękna historja, a żeby taki podrzutek, był w większym znaczeniu odemnie.

LUCJA.

Już co oto to się wcale nie turbuj, bo ja głowę nie od kształtu noszę. Ręczę cię że jeżeli zechce się ożenić, to pewnie żadna inna jak tylko ty, żoną jego nie będzie.

BALBINA.

Niema tak wprawdzie oco głowy łamać, lecz zawsze szkoda byłoby z ta-

kiego zdarzenia nie umiść korzystać. Ale się też z Ojca uśmieję dowoli, bo On by rad nieledwie w mówić w Niego, ażeby się ze mną ożenił.

LUCJA.

Jest dobrym Ojcem, pragnie szczęścia dla ciebie. Bo prawdę mówiąc, podobna partja nie prędko by ci się zdarzyła.

BALBINA.

Ale przedewszystkiém staraj się Mamo Klotyldę przynajmniej na czas jakiś z domu wyprowadzić, bo ja się obawiam ażeby zupełnie innego obrotu rzeczy nie wzięły. Klotylda nawet..... jak się w nią dzisiaj z boku wpatrywałam, może się staremu podobać. A wiedz Mamo że majątni młodzi, majątnych partij szukają, a starzy najczęściej z szalu z biednymi się żenią.

LUCJA.

Oddalić ją tak bez przyczyny nie podobna, szemrania domowników mogły.

by dojsć uszów Zjawińskiego i na-
prowadziły by go na jakieś podejrze-
nia. Lecz nie turbuj się, ma ona su-
rowy zakaz przychodzenia tutaj, a prze-
cież gdzie indziej widziéć się z nią nie
potrafi, bo takie schadzki pokątne nie
zgadzałyby się z jego wiekiem i powa-
gą. Ale bo i ty nie starasz mu się przy-
podobać; przecież potrzeba pamiętać że
to ze starym sprawa.

BALBINA.

Trudnoż mu się moja Mamo, tak ja-
wnie narzucać. (*Agapit wchodzi.*)

SCENA 2.

CIŻ i AGAPIT.

AGAPIT.

Takie dałem trzy porządne sztur-
chańce Klotyldzie, że aż mi się miło na
sercu zrobiło.

LUCJA.

Nie potrzebnie mój Agapitku strzą-
sasz sobie rękę... niebędziesz mógł pię-
knie pisać.

AGAPIT.

E... co tam proszę Mamy, nic mi nie
będzie szkodziło, owszem zdrowszy je-
stem, jak jój jakiego spłatał psikusa.

BALBINA (*do Agapita*)

Dokuczaj jój! dokuczaj!. to sobie prę-
dziej pójdzie od nas; wcale ona tutaj nie
jest potrzebną.

LUCJA.

Nie widziałeś Agapitku Ojca?...

AGAPIT.

Zaraz przyjdzie.

BALBINA.

A gościa czy nie ma tam z Ojcem ra-
zem?...

AGAPIT.

Nie, niema.

BALBINA.

Miej go ciągle na oku, ażeby nierozmawiał z Klotyldą.

AGAPIT.

Jeszcze by téż czego brakowało.... Niechno by się poważyła co przemówić do niego, zaraz bym jęj dał za to z piętnaście porządnych szturchańców. (*Opiekónski wchodzi.*)

SCENA 3.**CIŻ I OPIEKÓNSKI.**

LUCJA.

Słuchajno mój mój mężu, cóżeśty zrobił z Bronowłockim i jego synem?...

OPIEKÓNSKI.

Jeszcze zostali na miejscu do jakiegoś czasu.

LUCJA.

Już téż z ciebie masło maślane mój mężu, niedługo tego czekać jak Ekono-

mowie zaczął tobie rozkazy wydawać, bo najnniejszėj powagi dać sobie nieumiesz.

OPIEKUŃSKI

Ależ duszko... wszystkiego odrazu zrobić nie można, szczególnie przy naszym gościu, który jedynie samą łagodność wychwala. Później jak od nas odjedzie, to ja sobie z nimi poradzę; nie ujdzie im ta zuchwałość bez karnie.

ŁUCJA.

Ani podobieństwo darować.

AGAPIT.

Proszę Taty.. gdzie jest ten pan Gość?

OPIEKUŃSKI

Cicho.. nie mów tak głośno, bo się położył... tutaj (*pokuzując na prawo*) i śpi.

BALBINA,

Jakże mu się tu przypodobać, jak mama przed chwilą radziła, kiedy większą część dnia prześpi, mało co z na-

Tom IV.

mi mówi a najczęściej zamysłony siedzi. —

LUCJA (do Opiekónskiego)

Czy nie mówił co z tobą mężu o Balbisi Zjawiński?

OPIEKÓNSKI.

Nic nie mówił, ale wiem że ją kocha nad życie...

BALBINA.

Poczém żeś to poznał Ojczcze?

OPIEKÓNSKI.

Pytał mię dzisiaj, kto robił tę poduszkę, co na kanapie leży. Moja córka powiedziała. — Tak ją oglądał, tak jej się przypatrował — poczem głową parę razy wzruszył, i dobrze widziałem jak mu się łzy, jak dwie świeczki w oczach zakręciły.

LUCJA.

Zapewne, że to rzecz szczególna.

BALBINA.

Może... kto wie...

LUCJA.

O Klotyldę cię nie pytał?

OPIEKÓŃSKI.

Nie.— Cóż by go taki podrzutek obchodził.

BALBINA (*pomyślawszy*)

Wiesz co matko, taka nie nieznacząca okoliczność, jak naprzykład z tą Klotyldą, a nie spokojną mię czyni.

OPIEKÓŃSKI (*zaciérając ręce*)

Ha... ha... ha!... już go kocha, bo jest zazdrosną, ha... ha... ha!...

BALBINA.

Alboż to kochając, trzeba zazdrościć koniecznie?

OPIEKÓŃSKI.

Tak... bo zazdrość jest rodzoną siostrą miłości.

SPIEW 5.

Jak się miłość w serce wkrada,
 Jak się zacznie kochać szczerze,
 Zaraz człkiem zazdrość włada,
 I przedmiotu swego strzeże.

Niech twój luby grzeczność powie,
 Jakiej damie choć z niechcienia,
 Miłość się twa o tém dowie,
 I już dozna udręczenia. —

Miłość siostrą jest zazdrości,
 Choć się czasem z sobą z kłóćą,
 Choć się pierwsza z drógą złości,
 To się jednak nieporzućą.

LUCJA.

Skądże ci się wzięła taka wesołość
 mój mężu?

OPIEKÓŃSKI.

Alboż ja wiem moja kochana; tak mi
 coś szepcze za uchem, że będę miał jakąś
 cudną niespodziankę.

BALBINA.

Nie wierz mój Ojczy nigdy przeczu-
 ciom, bo te bardzo często zwodzą.

SPIEW 6.

Przeczcucia w nas choć się rodzą,
 Obiecując coś dobrego,
 Jednak bardzo często zwodzą,
 Przeczco robią dużo złego.

Każda z kobiet doświadczała.
 Jak przeczcucia mylnie słyną,
 Bo któraż z nas nie kochała,
 A to wszystko przeczczyć winą.

Lecz ja, wyrzec mogę szczerze,
 Że przeczcuciem się nie zgubię,
 Bo niczemu nie uwierzę,
 Aż dopiero już po szlubie.

ŁUCJA.

Masz racją moja duszo... tak samo
 postępujesz jak ja.... słowo... w słowo i
 najlepiej robisz.

OPIEKÓŃSKI.

Idź Balbisin do swojego pokoju! zaj-
 mij się jaką robotą, najlepiej krzyżową

6* (W)

bo ta mu widać najwięcej do gustu przypada.—Siądzie koło ciebie, zacznie rozmawiać, a tak potrochu... potrochu zbliżycie się do siebie. — Ty zaś żono zajmij się gospodarstwem, bo on ma oko na wszystko i kto wie czy po matce o córce sądzić nie zechce, a słyszycie nie raz jak chwali dobre gospodynie. Ja zaś pójdę do stodoły rachować snopki bo dziś z pola zwożą, wiem że mu się i to spodoba. Agapitku pójdź ze mną!

AGAPIT.

Ja z Ojcem nie pójdę, ja muszę iść do moich gołębi, bo ta siwa gołębica gniazdo ściele, a ceglasta ma już jajka.

OPIEKÓŃSKI.

Z resztą jak ci się podoba, ale chodźmy bo gdyby nas gość tak razem zastał, gotówby wszystkich z próżniactwa obmówić, a ty Balbisiu najwięcej byś na tém straciła.

(Wszyscy wychodzą, po chwili wchodzi Klotyllda)

SCENA 4.KLOTYLDA (*sama*)

Przecież państwo poszli!... (*po chwili*)
 Nigdy jeszcze nie pragnęłam tak wejścia do tego pokoju jak dzisiaj... Tutaj jakieś szczególne przeczucia pociągają mnie za sobą. Ten Pan, którego w całym domu chwalą, całą moją imaginacją zajął. Widziałam go wczoraj przez okno z kuchni, jak z Panem na dziedzińcu rozmawiał... tak mi się spodobała jego cała postawa... słodkie spojrzenie, łagodność mowy, że jakimś niezrozumianém urokiem zachwycooną zostałam. Nie kocham go tak jak Teodora... ja go zupełnie inaczej kocham, ja dla niego mam jakąś szczególną miłość... taką uroczystą!... Boską!... Ja jego bym całowała, ale w nogi... w ręce... Ja bym nie śmiała się z nim pieścić, jak

się pieści siostra z bratem... Ale... tak...
 tak... niewiem doprawdy.... Od tak jak
 córka z Ojcem. (po chwili) Mój Boże! cóż
 to musi być za roskosz, kiedy dziecku
 jest wolno kosztować pieśczoł Ojca.. a
 których ja nigdy nie znałam. Ja tyl-
 ko widzę zawsze surowe, a częstokroć
 srogie spojrzenia; obietnice kary lub jej
 skutki. Nikt się nie lituje nademną gdy
 jestem chorą, a jeżeli mi jeść dają, to
 tak tylko dla tego, żebym z głodu nie
 umarła.

SPIEW 7.

Gdy się matka z córką pieści,

Lub ojciec cisnie do łona,

Ja cierpiąca wśród boleści;

Ze wszystkich stron udręczona;

Znosić muszę wszystko stale,

Bo któż spojrzy na me żale.

Jedna dusza przecież tkliwa,
 Nie pogardza mną w niedoli,
 Lecz ja zawsze nieszczęśliwa,
 Bo czyż na to pan pozwoli
 By Teodor się ożenił?
 Los mój biedny w lepszy zmienił.

Gdybym jako mogła z tym Panem
 sam na sam pomówić; żeby to na mnie
 wtenczas panna Balbina nie patrzyła...
 jabym mu się do nog rzuciła!... i tak
 szczerze całowała!... O mój Boże!.. jak-
 że bym była szczęśliwą! on by mię nie
 odepchnął od siebie, ja mam w nim wiel-
 ką nadzieję. (*wskazując na drzwi po prawej
 stronie będące*) On tutaj... w tém pokoju
 stoi... ale go nie musi być, bo by sły-
 chać było chodzenie. (*zbliża się do drzwi
 i zagląda przez dziórkę od klucza*) Położył
 się na kanapie i śpi. (*znowu zagląda*) Mój
 Boże! jakież On jest przyjemny! twarz
 jego wyobraża mi anioła pocieszyciela.
 Czemuż ja go uściskać nie mogę. (*z pta-*

czem odstepuje od drzwi) Wszyscy co go otaczają, za to, że może kto wie, i z niechęcią usługi swe pełnią, wynadgradzani są jego słodkiem spojrzeniem, a ja którabyś chętnie i całe me serce z największą rozkoszą oddała, nie mam prawa zbliżyć się do niego... *(po chwili zamyślenia)* To okropnie!.. to bolesnie!.. tego ja nie zniosę. Nigdy tak ciężką nie była mi moja pogarda, jak teraz znajdując się blisko tego człowieka. Pójdę! otworzę drzwi! rzucę mu się do nóg! błagać będę: „Panie! zabierz mię stąd! będę ci wiernie służyć, na krok Cię nie odstąpię, czuwać będę ciągle, żeby żadna przykrość czoła twojego nie zachmurzyła!... zastąpię ci miejsce córki. *(tu chwile myśli)* Córki!.. cóż ja to niebaczna wyrzekłam? alboż ja mam prawo by mię kto córką swoją nazywał? kiedy ja jestem sierotą!... *(powtórnie zbliża się do drzwi)* Śpi jeszcze, ale jak mocno... Uchylę drzwi

przypatrzę mu się dobrze... nieodmówię
sobie téj pierwszej w mém życiu rozko-
szy, a choćby mię pochwyceno i naj-
srożej ukarano, to jeszcze będę szczę-
śliwą. (*bierze za klamkę i wraca się*) Tak
mię jakoś strach bierze..... (*po chwili*)
Wstydź się tchurzu!... tam się przecież
nie twój srogi Opiekun znajduje...
(*Bierze znowu za klamkę jeszcze raz się wraca*)
Muszę pierwój sobie ułożyć, jak się mam
znalésć gdyby w chwili otworzenia drzwi,
on się przebudził. (*myśli*) Już wiem, w Imię
Boże! niech się co chce dzieje! teraz mię
żadna obawa nie wstrzyma. (*przybliża
się do klamki, takową zakręca i pomalu drzwi
otwiéra, staje w progu, raptem się w tył casa,
drzwi puszcza i przytlumionym głosem zawo-
łała*) O! ja nieszczęśliwa!..... (*wychodzi
zmiészana z pokoju, w tém wchodzi Jan, z któ-
rym się we drzwiach spotyka.*)

(*po chwili przebudza się*)

Łakie głosił wspaniałe, oddi się

Tom IV.

SCENA 5.**KLOTYLDA JAN.**

(*Klotyllda nie patrząc w oczy Janowi, wychodzi.*)

JAN (*ustrzymując Klotylldę*)

Czy panna otwierałaś do drugiego pokoju? bo Pan nie kazał nikomu tam śpiącego gościa przebudzać.

KLOTYLDA (*zmiészana.*)

Ja!.. puszczaj mię Janie! (*wychodzi, Jan za nią.*)

ZMIANA DEKORACYI.

(*W pokoju w którym spał Zjawński.*)

SCENA 6.

ZJAWIŃSKI (*sam, śpi na kanapie, po chwili przebudza się.*)

Jakiś głos dźwięczny, miły, obił się

o moje uszy we śnie. (*Siada na kanapie, ziewając*) Tak mi się zdawało... imagina-
cja co dzień to coś nowego, cierpiącemu
przedstawia. (*powstaje z kanapy*) A... za-
spalem się trochę za długo. Ja niewiem
co powiedzą ci państwo Opiekónscy?...
najpewniej nazwą mię starym próżnia-
kiem, że więcej nic nie robię tylko sie-
dzieć i myśleć, albo się położyć i śpię. —
(*Chodzi po pokoju*) Lecz sam nie wiem do-
prawdy dla czego tutaj, tak jakoś zgnu-
śniałem... trzeba wracać do domu... tam
przynajmniej w pośród moich dobrych
chłopców, jakby w gronie mych dzieci
spokojniejszym się staję. — (*Opiekónski
wchodzi.*)

SCENA 7.

ZJAWIŃSKI OPIEKÓNSKI.

OPIEKÓNSKI.

Może słaby jesteś Panie Zjawiń-

Tom IV.

7

ski?.. powiedz!.. bo kobiety moje nie spokojne, przysłały mię ażebym się dowiedział, dla czego tak smutny jesteś.

ZJAWIŃSKI.

Dziękuję Paniom za ich troskliwość, lecz chory nie jestem, a cierpieniem moim kochany przyjacielu, trudno ulgę przynieść.

OPIEKOŃSKI.

E... daj pokój... żeby tak ładne oczęta przemówiły do serduszka, to kto wie czybyś humoru nieodzyskał.— Przecież pamiętam przed dwudziestą laty, jakęś w wojsku służył, wszystkie twoje swywole.—O!.. figlarz był z ciebie mój Panie Zjawiński; niepodobna przecież żebyś się miał przez ten czas zmienić zupełnie i tak bardzo z tetrycznić.

ZJAWIŃSKI.

Przeszło dwadzieścia lat w górę, wielką robią różnicę w człowieku, tém więcej kiedy w początkach tej epoki, zaszło

zdarzenie, o którym nie tylko zapomnieć nie można, ale coraz boleśniejsem się staje.

OPIEKÓŃSKI.

Góż to przecież takiego okropnego ci się przytrafiło.

ZJAWIŃSKI.

Powtarzać nawet tej historyi nie lubię, bo mię jej wspomnienie, dużo zdrowia kosztuje.

OPIEKÓŃSKI.

Kiedy ci to przykrość sprowadza, daj pokój. No ale chodź do kobiet, pokaż im się przynajmniej, bo są bardzo niespokojne o Ciebie.

ZJAWIŃSKI.

A... i owszem natychmiast idę. (zawiezuje chustkę na szyi, szuka szpilki ale znaleźć nie może:) Szpilkę miałem tutaj.. wpiętą.. niewiem gdzie mi się podziała...

OPIEKÓŃSKI.

Może spadła na ziemię. (szukają obydwaj)

ZJAWIŃSKI.

Tutaj, na stole, położyłem pierścionek... szpilkę... koło zegarka. (*spogląda na stole*) Patrzaj przyjacielu! wszystko mi razem skradziono! a nawet i tabakierki niéma.

OPIEKÓŃSKI (*zmięszany*)

Co ty mówisz!... a niechże Bóg broni! jeszcze się to u mnie nigdy nieprzytrafiło. Możesz zapomniał Panie Zjawiński!.. poszukaj dobrze!

ZJAWIŃSKI. (*przetrzęsając wszystko*) Przecież pamiętam gdzie położyłem... No to się pokrzepił ten co wziął.—Szpilka z wielkim brylantem i kilkoma małemi brylancikami sto dukatów mię kosztowała.—Pierścień... ten co widziałeś zapewne u mnie na palcu? dwieście piędziesiąt dukatów wartości miał sam brylant, tabakierka złota z kamieniami, także sto dukatów można ją liczyć, a zegarek złoty cylinder z grubem i to z dobrego złota łańcuchem kupilem

jak byłem tą razą w Warszawie, dałem za niego ośmdziesiąt dukatów.

OPIEKÓŃSKI (*ciągle szuka*)

Ależ to w żaden sposób być niemoże... ja gotów jestem dopełnić w całym domu rewizję... Wieś całą przetrząsnę... Hej!.. Janie!.. Janie!..

ZJAWIŃSKI.

Daj pokój mój bracie... Ten kto się považył do tak niegodnego czynu, musiał być gwałtowną potrzebą do niego zagniony. Wreszcie on dobrze przechował i pewnie nikt po nim nie znajdzie.

OPIEKÓŃSKI.

Tak!.. zapewne... nie szukać, a tem samem złodziei ośmielić, żeby nachodzili moje mieszkanie, ale też i z ciebie nieostrożny, mój Panie Zjawieński... kłaść takie kosztowności na stole, blisko drzwi.

ZJAWIŃSKI.

Zapewne, że ja najwinniejszy jestem.

OPIEKÓŃSKI. (*zpostrzegłszy drzwi do drugiego pokoju uchylone*) Czy ty otwierałeś te drzwi Panie Zjawiński?...

bo ja wychodząc, dla tego żeby ci nikt nieprzeszkadzał, dobrze je zamknąłem.

ZJAWIŃSKI.

Nie... nie wychodziłem nigdzie.

OPIEKÓŃSKI.

A! to nie ma już kwestji... (*Jan wchodzi.*)

SUENA 8.

CIŻ i JAN.

JAN.

Czy Pan wołał.

OPIEKÓŃSKI.

Słuchaj no!.... Panu Zjawińskiemu w téj chwili skradziono szpilkę złotą i pierścień z brylantami, zegarek z łań-

cuchem złotym i takąż tabakierkę. Złodziej niezawodnie wszedł temi drzwiami z tamtego pokoju... Czy nie widziałeś kogo ażeby wychodził?

JAN (*zmiészany do siebie*)

Widziałem Kłotyldę!... O mój Boże... miałażby to ona?...

OPIEKÓŃSKI.

Cóżto mięszasz się?... zaraz mi powiedz! bo użyję wszelkich środków do wybadania pomocnych.

JAN.

Widziałem jedną osobę.. która drzwi do tego pokoju otwierała, i nie zamknięte zostawiła... ale nie śmiem ją posądzać.

OPIEKÓŃSKI. (*zmiészany*)

Bez żadnej obawy.. mów.. bo przeto w podejrzenie wprowadzasz słuchające cię osoby.

ZJAWIŃSKI.

Nie unos się panie Opiekóński i po-

woli się dowiemy. *(do Jana)* Moje dziecko, dla usunięcia podejrzeń od innych niewinnych... powiedz kto wchodził tutaj?..

JAN.

Klotylda...

OPIEKÓŃSKI *(niejako ucieszony)*

Klotylda!...- a!... bardzo być może i to najpewniejsza! ręczę że się zmówiła z synem Ekonomą, bo się już podobno mieli ku sobie... ale!... pamiętasz jak się onegdaj sprawa wyłączała, za którą tak obstawałeś.— Zapewne!.. zapewne!.. nie ma kwestji. Nie turbuj się... odbierzesz swoje rzeczy.

ZJAWIŃSKI.

Źle zrobili to prawda... ale już zrobili... trudno złemu przeszkodzić, niech przy nich zostaną zabrane przedmioty, byle na dobre onych użyli i więcej podobnych rzeczy się niedopuszczali.

OPIEKÓŃSKI.

Za bardzo jesteś łagodnym, mój przyjacielu. Z resztą tu nie tylko idzie o ciebie, ale więcej o chańbę domu mojego. Pięknie ażeby u nas gości okradano.

(Lucja wchodzi.)

SCENA 9.

CIŻ i ŁUCJA.

ŁUCJA.

O cóż to chodzi?...

ZJAWIŃSKI.

Nic... Pani... to mała bagatelka... nie warto nawet wspominać.

OPIEKÓŃSKI.

Djable bagatelka... Pięknie się popisała nasza wychowanka... skradła Mu pierścioneł, szpilkę, zegarek z łańcuchem i tabakierkę.

ŁUCJA.

Czy to być może!.. Widzisz mój mężu.. jak

to moje przeczucia się czasami sprawdzają... mówiłam, że dawno ją z domu należało odprawić. Pewnie ze swoim kochankiem się namówiła i na podróż dla siebie przysposobili. No... no... już ja to wszystko wynajdę... nie turbuje się Panie. A to nie słychane rzeczy! ażeby co podobnego u nas się przytrafiło.— Piękna opinja dla naszego domu, z przyczyny jednego podżutka, którego się z liłości chowało.

OPIEKÓŃSKI.

Miej Klotyldę na oku, nie jej niewspominaj żeśmy się o kradzieży dowiedzieli. *(do Jana)* A ty idź mi zawołaj Bronowłockiego! a także nie wytrąb przed nim tego, co w téj chwili słyszałeś *(Jan wychodzi.)*

LUCJA.

Już ja się z całej duszy tym interesem zajmę i wiem że w krótcie wszystko wynajdę. *(odchodzi.)*

SCENA 10.**ZJAWIŃSKI OPIEKŃSKI.**

ZJAWIŃSKI.

Głós miły... bardzo przyjemny... ko-
bięcy... we śnie, obił się o moją duszę,
ale niewiem, czy to rzeczywiście było,
czy mi się tak tylko zdawało.

OPIEKŃSKI. (*uśmiechając się
z przymileniem*) E... to moja córka Balbisia
z matką w drugim pokoju rozmawiały.

ZJAWIŃSKI. (*żywo*)

O!... nie... ja znam głos Panny Balbi-
ny dobrze. (*Balbina wchodzi.*)

SCENA 11.**CIŻ I BALBINA.**

BALBINA.

Z wielkim smutkiem dowiedziałam
się w tej chwili o nieszczęściu Pańskim,

ale jest przecież nadzieja, że się wyda sprawca tego niegodnego czynu.

ZJAWIŃSKI.

Nieszczęściem tego nazywać nie mogę, i Pani się niepotrzebnie smucisz, bo to nie tylko że nie stanowiło ostatniego mojego mienia, ale żadnego uszczerbku w moim majątku nie zrobiło. Tu jedynie chodzi o to ażeby wynaleść winnego, dla naprowadzenia go na drogę moralności, a nawet co do mnie to bym i temu dał pokój, zwłaszcza wiedząc na jaką to osobę podejrzenie pada, ale Pan Opiekóński tego chce koniecznie... Lecz na żadną karę, w razie wykrycia winnego nie pozwolę i rozsądzenie téj sprawy dla siebie zostawiam. — Tego mi nie odmówisz zapewne Panie Opiekóński?... przecież jestem gościem i tylko pod tym jednym względem pierwszeństwo gościa sobie zastrzegam.

OPIEKÓŃSKI.

Cicho! już słyszę nadchodzącego Bronowłockiego... Wyjdź Panie Zjawiniński z Balbisią, a ja sam tylko zostanę.. nie trzeba go na wstępie, przy obcych osobach kompromitować.

ZJAWIŃSKI.

Ale cię proszę, mój przyjacielu, pomów z nim grzecznie, bo gdyby nawet i tak było, to cóż może być winien ojciec, jeżeli syn jego pobłądzi.

OPIEKÓŃSKI.

No... no... spuść się na mnie. (*Zjawiniński z Balbiną wychodzą.*)

SCENA 12.

OPIEKÓŃSKI. (*sam*)

Kontent jestem bardzo, że mam sposobność pomszczenia się na zarozumiałym o cnocie swojego syna Bronowłockim, a i synalek śmiały potańcuje teraz. Z tą niegodziwą dziewczyną

Tom IV.

8

czyną trzeba w tych dniach skończyć. Dosyć tej opieki, może już na swój chleb powędrować. Dzieci ją nie lubią, Balbisia się na nią żali, Agapicio narzeka. (*Bronowłocki wchodzi.*)

SCENA 13.

OPIEKÓŃSKI BRONOWŁOCKI.

(*Opiekónski przechodzi się szerokim krokiem po pokoju udając głęboko zamyślonego.*)

BRONOWŁOCKI.

Jestem na rozkazy Pańskie.

OPIEKÓŃSKI (*jakby dopiero spostrzegł Bronowłockiego*) A! przyszedłeś.. Przygotój się, bo nie pomyślną wiadomość usłyszysz?

BRONOWŁOCKI.

Całe życie jestem przygotowany, bo któryż biędny człowiek, co teraz pomyślnego usłyszysz?

OPIEKÓŃSKI (*serjo*)

Gdzie jest twój godny syneczek?...

BRONOWŁOCKI (*zdziwiony*)

Cóż to Pana może obchodzić? ja wiem gdzie jest mój syn, lecz nie widzę potrzeby tłumaczyć się, zwłaszcza wten czas, gdy mię Pan w ten sposób pytasz.

OPIEKÓŃSKI (*z furją*)

Proszę niezapominać! że stoisz w obec pana swojego! którego względy jak się zaraz dowiesz, będą ci bardzo potrzebne i jedynie moja łaska może cię przed chańbą do której cię twój syn zprowadził zasłonić.—Rozumiesz Asan! he!...

BRONOWŁOCKI (*udając spokojnego*)

Nie... tego nierozumiem wcale. Chciej Pan jaśniej powiedzieć.

OPIEKÓŃSKI

Dobrze, lecz najwprzód powiedz! gdzie jest twój syn w téj chwili?

PRONOWŁOCKI (*z przyciskiem*)

A gdzież ma być?.. ciągle jest w domu.

OPIEKÓŃSKI

Czy dziś, tak... koło dwunastej godzi-

ny gdzie nie wychodził?

BRONOWŁOCKI (*jawnie pomieszany*)

Proszę Pana, nie badaj mię w ten sposób pierwej, dopóki mi nie wskażesz powodów że masz prawo do tego.

OPIEKÓŃSKI (*szyderczo*)

Bo widzisz... chciałem cię przygotować do pewnej wiadomości, ale kiedy swoim hardém postępowaniem nie zasługujesz na to, więc się dowiedz że ów synaczek tak bardzo w twojém przekonaniu cnotliwy, za pośrednictwem niegodnej dziewczyny z którą się oddawna zmówił, dopuścił się chaniebnej (*przez zęby*) kra...dzie...ży... w mym domu, bo zabrał wojemu przyjacielowi kosztowności, przeszło pięćset dukatów wartości mające.

BRONOWŁOCKI (*bardzo zmieszany*)

Panie!.. co mówisz!.. pomnij że chańba!.. którą poważyłeś się okryć syna mojego!.. jest dla mnie śmiertelnym poci-

skiem którymś wprost w me serce ugodził!... i jeżeli zarzut dowiedziony będzie!... ja umrę z rozpaczy!... Ale w przeciwnym razie, znajdziesz Panie we mnie wroga, który cię do śmierci ścigać nie przestanie.

OPIEKÓŃSKI. (*obojętnie*)

Nie lękam się postrachów, przez jednego mało-znaczącego służalca wyrzeczonych.

BRONOWŁOCKI (*z irytowany*)

Służalca!... służalca!... otóż to macie obraz bogacza, który dla tego że może drugiemu za pomoc w pracy zapłacić, służalcem go mieni. — Zapewne, że ze wstrętem wspomnieć mi przychodzi, że pełnię obowiązki u takiego człowieka, który biedniejszych nie za ludzi uważa i wiernego sługę służalcem nazywa. — Dziękuję ci w tej chwili Panie za służbę, bo na służalca za młodu zdatny nie by-

łem. Ale bądź pewnym Panie: że jakby piętno chańby na zbrodniarzu wyciśnięte, tkwić będzie w mej duszy wspomnienie, żem u takiego jak Ty pana, usługi me pełnił.

OPIEKÓŃSKI (*z szyderskim uśmiechem*) Proszę jaki mi chonorowy człowiek, a syna ma złodzieja.

BRONOWŁOCKI (*w uniesieniu*)

Panie!... przytnij język zębami, wten czas kiedy zechcesz lżyć w ten sposób syna mojego, dopóki mu tego nieudowodnisz pierwej!... Pamiętaj że masz także syna!... pomnij że jest Bóg który się za krzywdą biédnego najpierwej ujmuje, i o tém niezapominaj, że już nad grobem obydwu stojemy, a z tamtej strony nie ma panów i ekonomów... nie ma mówię słuzalców!... tam ci się ciężko spotkać będzie ze mną.

OPIEKÓŃSKI (*z przytłumionym gniewem szydersko się uśmiechając*) Pierwej

nim do tego przyjdzie, odbędzie się w twoim domu rewizja, a jak znajdę rzeczy skradzione, o czém nie wątpię, jeżeliś takowych nie przechował gdzie w bezpieczniejsze miejsce, każe okuć twój syna w kajdany i z tém godłem wypielegnowanej przez ciebie cnoty, twém oczom przedstawię, ażebyś się nacieszył przyjemnym widokiem. (*Domawiając tych słów szybkim krokiem wychodzi z pokoju, zostawiając w nim Bronowłockiego i takowy z drugiej strony na klucz zamyka.*)

SCENA 14.

BRONOWŁOCKI (*sam przez jakiś czas spoglądu we drzwi*) A więc jestem aresztowany!... a jeszcze jak podstępnie! (*przechodzi się po pokoju potem staje na środku, wznosząc oczy i ręce do góry z rozpaczą*;) O.. mój Boże!... Ojczy niewinnych ludzi!... Sędzio sprawiedliwy!... Uciśnionych Opiekónie!... Panie nad panami!... Wdaj

się w tę sprawę i zawyrokój jak Twoja
 święta sprawiedliwość pozwoli. Jeżeli
 mój syn jest winnym! wykryj jego zbro-
 dnię przed światem!... sam jej niezata-
 ję!... wiech ulegnie zasłużonej karze! ale
 jeżeli żadnego nie spełnił występku...
 niedozwól, by duma i możność nadbie-
 dnym stanem górę wzięść miały. (*po-
 chwili*) O!.. synu!... Synu kochany! czego
 się doczekałem w starości!.. Ostatnie
 fundusze niszczyłem!... wśród skwaru
 słonecznego, wyciągałem pracą pokur-
 czone żyły na polu, a grosz potem obla-
 ny na naukę dla ciebie chętnie oddawa-
 łem. A teraz, kiedy mech pokrył twarz
 moją, kiedy pochylony o kiju spieszę do-
 grobu.. ciebie o kradzież obwiniają!.. ser-
 ce mi się z żalu rozpęknie!.. siły mię od-
 stępują!.. sam siebie nie rozumiem i sam
 siebie się lękam... O!... Małgorzato!...
 Małgorzato!... z ciężkiem żalem przed-
 dziesięć laty twe zwłoki na wieczny

spoczynek złożyłem!..mogiłę usypaną ledwie że nie w błoto łzami przerobiłem!... ale Bóg wszechmocny o ceniając twe cnoty zabrał cię prędeej... ażebyś niedoczekala hańby, jaką ci syna twojego okryją!... Ja tylko z większemi przewinieniami, za karę, na świadka tej sromoty zostałem. *(Zakrywa twarz rękami i chwilę w takiej postawie zostaje, potem.)*

SPIEW S.

Dodaj mi Panie odwagi w tej doli,
 Abym nieupadł pod ciosem cierpienia,
 Bym chętnie przyjął co jest z Twojej woli,
 I pomniał o tём żeś Ojcem stworzenia
 Którego nigdy niedoścignie zguba,
 Choć go doświadcza Twoja święta próba.
 Darujesz dzieciom gdy Cię obrażają,
 Przebaczasz winy gdy za nie żałują,
 Tym nawet świadczysz którzy Cię nie znają,
 Zarówno jak tym którzy Cię szanują,
 Ty jesteś Ojcem i Twórcą miłości,
 Tych tylko rzucasz co niechęcią litości.

Co czuję w duszy, to wyznanie mjeści,
 Przed Tobą kłamstwa nikt wyrzec nie zdoła,
 Któż się poważy nieść fałszywe wieści
 Kiedy go Twój sąd na świadka powoła?
 Gdzie wieczne życie, śmierć myśli unika.
 Gdzie człek nadgrodeę lub karę spotyka.

*(Przez długi czas chodzi zamyślony potem na
 środku staje)* Ja tutaj jestem zamknięty,
 a pan Opiekónski w moim domu rewizję
 odbywa, tak przecieę wychodząc powiedział.—
 Kto wie? może to jaka zasadzka? może on
 umyślnie z kradzione przedmioty
 mojemu synowi podrzuci?.. Muszę być
 świadkiem rewizyi! przecieę mnie się pan
 Opiekónski obawiać nie powinien, kiedy
 jest pewny swojego. —

*(Przyblięa się do drzwi wstręsa niemi mocno,
 wreszcie odsadza się i uderza potęęnie ramieniem,
 drzwi się otwierają i z szybkością wychodzi.)*

(Kortyna zapada)

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

AKT III

(*W dwa dni po akcie drugim.*)

(*Teatr przedstawia ciemną piwnicę której tylko lampa w pośrodku zawieszona wátłę światła udziela.*)

SCENA 1.

KLOTYLDA (*sama siedzi przy stoliku*) Az do tej pory wyobrażałam sobie więzienie, straszném dzikiem i ponurém; mieszkańców zaś jego albo ludzi bez serca, nieczułych na drugich cierpienia... albo nieszczęśliwych którym sumienie co chwila występki i zbrodnie

przed oczy sprowadza. W ostatku myślałam, że człowiek który zasłuży by go obsadzono w więzieniu, wyzuwa się ze wstydu; i gardzi wszelkimi zaletami odznaczającemi godność człowieka. — Lecz nigdy nieprzypuszczałam, ażeby człowiek bez winy mógł być zamknięty i jak więzień występny był uważany; temczasem znalazłam przykład na sobie.—Pan Opiékóński najpewniejszy że ja zabrałam kosztowności jego przyjacielowi, tu mię obsadzić rozkazał i prawie co godzina, na przemian ze swojążoną badać przychodzą nalegając: ażebym albo się przyznała do winy, albo żebym wskazała winnego.— Niewinnemu przyznać się do winy, jest to co samobójstwo zpełnić moralne, a wskazać winnego czyż mogłabym się poważyć?.. *(po chwili)* Z tego się tylko cieszę że Téodora nie zamknięto w więzieniu; ale

Ojciec jego rozchorował się ze zmartwienia, żeby tylko nie umarł! bo to bym sobie wyrzucać musiała. *(po chwili)* Ten pan którego tak kocham! z jakimże wstrętem o mnie teraz zapewne wspomina... On mię sądzi być winną i wszyscy w całym domu tak myślą... a przekonać ich o mojej niewinności, jest to samo co zdradzić tajemnicę... Trzeba więc cierpieć!.. trzeba być w cierpieniach wytrwałą! a w wytrwałości znajdę moją pociechę.

SPIEW 9.

Gdyby mię wszyscy odstąpili razem,
 Gdybym w tych murach umrzeć nawet miała,
 Stanę się zimnym nie ugiętym głazem,
 W mém przedsięwzięciu zawsze będę stała.

Sama się winą okrywać nie mogę,
 Winnego wydać niewdzięczną bym była,
 A tak obiorę najwłaściwszą drogę,
 Że wciąż w milczeniu będę tylko żyła.

Tak, nikt mię nigdy przymusić nie zdoła,
Choćbym stanęła przed najsroźszym wrogiem,
Wtenczas gdy umrę, gdy mię Bóg powoła,
Odkryję prawdę, nie skłamię przed Bogiem.

(po chwili)

Czy mi się zdaje... ale, ktoś nadcho-
dzi. Nowa inkwizycja pewnie odbywać
się będzie. — Boże! dodaj mi odwagi!...
(Teodor wchodzi.)

SCENA 12.

KLOTYLDA TEODOR.

TEODOR *(na stronie)*

Moja kochana Klotyllda! w tak smu-
tném i nie przystępném miejscu zamknię-
ta! jeszcze o tak haniebną zbrodnię
obwiniona!

KLOTYLDA *(na stronie)*

Co widzę! Teodor!... jakim że on spo-
sobem dostać się tu potrafił?.... boi się

do mnie przystąpić, kto wie, może i on myśli że jestem występna?

TEODOR (zbliżając się do Klotyldy) Droga moja Klotyldo!... gdybym niewiedział kto cię uwięził, niewierzył bym swoim własnym oczom! bo czyż można przypuścić ażebyś spełniła zbrodnią o którą cię obwiniają.

KLOTYLDA

A jakże ty myślisz Teodorze?

TEODOR.

Jabym przysiągł że jesteś niewinna!

KLOTYLDA

Jeżeli tak myślisz, dziękuje ci za to.

TEODOR.

Jak mogłaś nawet inaczej przypuszczać.

KLOTYLDA

A ciebie już nie obwiniają?

TEODOR.

Gwałtowna słabość Ojca mojego ztrwożyła naszych nieprzyjaciół, ale mnie wciąż mają na oku i każdy mój krok śledzą.

KLOTYLDA (*zmiészana*)

A więc Twój Ojciec bardzo jest chory!...

TEODOR.

Dziś mówił że jest zdrowszym, a przynajmniej niebezpieczeństwa już niema żadnego.

KLOTYLDA

Biędny!.. poczciwy staruszek!.. żal mi go serdecznie.

TEODOR.

Klotyldo! zaklinam Cię na Boga! powiedz mi wszystko, a najwprzód z jakiej przyczyny padło podejrzenie na Ciebie. Czyś ty aktualnie była w pokoju tego pana?

KLOTYLDA

Byłam...

TEODOR. II

Jakto?... wtenczas kiedy był sam je-
den!...

KLOTYLDA

Tak jest, on wtenczas spał na kana-
pie.

TEODOR.

Pocóżes tam chodziła?

KLOTYLDA

Chciałam go zobaczyć.

TEODOR.

Dla czego?

KLOTYLDA (z zapalem)

Bo go kocham nad życie!.. ja go ubó-
stwiam! ja bym rada całe życie być
przynajmniej sługą u niego!..

TEODOR (z rozpaczą na stronie) Ona go
kocha!.. a więc straciłem całą moją na-
dzieję!.. (po chwili) niebędę jej jednak czy-
nił wyrzutów, bo teraz niewłaściwa po-

ra do tego. (*do Klotyldy smutnie*) A on widział że ciebie?

KLOTYLDA

Nie... bo spał wtenczas.

TEODOR.

Długo żeś była w jego pokoju?

KLOTYLDA

Tylko że drzwi uchyliłam z największym przestraczem, cofnąć się musiałam.

TEODOR.

Cóż cię tak strwożyło?

KLOTYLDA

Tego nie powiem.

TEODOR.

Dla czego?

KLOTYLDA

Bo nato przed Bogiem, z własnej mej woli, uroczyście wykonałam przysięgę.—

TEODOR.

Domyślam się, że musiałaś widzieć tego który wychodził....

KLOTYLDA (*przerywając*)

Nie pytaj mię o nic więcej, bo się już nic odemnie nie dowiesz.

TEODOR,

Zastanów się, Klotyldo! że ocalając drugą osobę, sama w największej pogardzie od wszystkich, którzy cię za cnotliwą mieli zostajesz; nie usłyszysz nikogo żeby się ze słowem litości odezwał za tobą.

KLOTYLDA

Tém dla mnie lepiej... będę miała większą zasługę przed Bogiem. Nie zasmucę Rodziców... bo ich nie mam. Ja sama i tak nie wiele znaczyłam na świecie... pogadają i zapomną, a jak byłam między ludźmi sierotą, taką samą i w więzieniu będę.

TEODOR.

Przecież są ludzie, których twój los
bardzo obchodzi!

KLOTYLDA.

Tym sposobem i tutaj jestem szczęśli-
wą, a nawet szczęśliwszą jak na wolno-
ści byłam.

TEODOR.

Ale wiedz otém, że za parę dni
gdzie indziej będziesz przewieziona; do
sądu!... do kryminału!...

KLOTYLDA.

I tam są ludzie...

TEODOR.

Sami zbrodniarze!...

KLOTYLDA.

¶ Każdy człowiek, w swoim więzieniu
jest tylko zamknięty, i strzeżony przez
nieodstępnego strużaka sumienia. Kto
większą popełnił zbrodnię, ściślej jest
pilnowany, a kto mniejszą mniej, kto

zaś żadnej tak jak ja, to i w więzieniu jest wolny.

TEODOR.

Pamiętaj Klotylde, że swoim postępowaniem, grób mi przedwcześnie otwierasz!

KLOTYLDA

I ja tam nie długo pójdę, to się prędzej zobaczymy z sobą.

TEODOR

Albo masz chęć widzenia się ze mną?

KLOTYLDA

Całe życie!

TEODOR

Dla czego!

KLOTYLDA

Bo cię kocham!

TEODOR (z radością)

Ty mnie kochasz!.. czy to być może?...

KLOTYLDA
 Któżby tak dobrego nie kochał człowieka?

TEODOR
 Takim sposobem dwóch kochasz... tamtego pana i mnie?

KLOTYLDA
 Tamtego pana kocham jak Ojca, a ciebie.... jak najszczerzego swojego przyjaciela.

TEODOR *(na stronie)*
 Dopiero odżyłem. *(do Klotyldy)* Ja cię chcę koniecznie uwolnić, bo inaczej wkrótce cię z tąd wywiozą.

KLOTYLDA
 Nie wiem jakim sposobem zdołał byś mię uwolnić.

TEODOR
 Wyjednałem na strużu który cię pilnuje wniście do tego lochu, może wyjednać potrafię, że mi cię pozwoli z sobą uprowadzić, i.....

KLOTYLDA

I domysły w rzeczywistość zamienić,
bo takim postępkim każdego bym prze-
konała, że jestem sprawiedliwie o kra-
dzież obwinioną. Bo przecież niewinni
się nie ukrywają, bo się niczego i niko-
go nie boją.

TEODOR

Ale ci nieszczęście zagraża.

KLOTYLDA

Człowiek gdy w nieszczęściach na
tym świecie żyje, jest prawdziwym czło-
wiekiem. Bo człowiek tylko jeden ze
wszystkich istot żyjących jest do nie-
szczęść stworzony. Ten zaś który ich
nie zna, jest posągiem z kamienia wy-
kutym, on nie rozumie cierpień i ludzi
którzy je znoszą.

TEODOR

Więc cię do wyjscia namówić niezdolam? a przecież cię muszę koniecznie ratować.

KLOTYLDA

Dziękuję ci za dobre chęci, ale cię przepraszam że z nich korzystać nie mogę

TEODOR *(na stronie)*

SPIEW 10.

Moja luba nieszczęśliwa,
Sama jedna w takiej doli,
Chléb i wodę tu pożywa,
O! jakże mię serce boli!

O! niewinna ty istoto!...

Jak cię srogo przesładują,
Czyż dla tego żeś sierotą!
Więzić ciebie nie żałują?

Tonie dusze, zimne głązy!
Gdy tak wielką czarną winę,
Jak na zbrodnią pełną zmazy
Kładą na biędną dziewczynę.

Jak by winnej stróż jej strzeże.
Nie, ja na to nie pozwolę!
Bo ją kocham z duszy szczerze,
Ja sam cierpieć za nią wolę.

Ja ją muszę dziś jeszcze z tąd wy-
prowadzić!.. to nic nie pomoże. *(do Klotyldy)* Żegnaj cię droga Klotyldo.

KLOTYLDA

Dziękuję ci mój przyjacielu za to, żeś
mnie odwiedził, przynajmniej ty jeden
mną nie pogardzasz.

TEODOR *(odchodząc)*

Do widzenia się!

ZMIANA DEKORACJI

(Teatr przedstawia pokój państwa Opiekónskich.)

SCENA 13.

ZJAWINSKI, OPIEKÓNSKI ŁUCJA
BALBINA.

*(Wszyscy siedzą w okolo stołu i wspólnie
rozmawiają.)*

ZJAWINSKI *(do Opiekónskiego)*

Już ja ciebie bardzo proszę! na wszy-
stkie obowiązki zaklinam! ażebyś natych-
chmiast kazał uwolnić Klotyldę. Nie

godziło się tać przedemną że już przez dwa dni jest zamkniętą. Ja niechęć ażeby taka młoda dziewczyna, tak ciężko cierpiała, zwłaszcza że nie niema pewnego. Bo czy ją słusznie obwiniamy żaden z nas zaręczyć nie może; a nawet ja mam przeczucie że to kto inny zrobił... różne podejrzenia snują mi się po głowie: może być, że i mój człowiek... kto wie, ludzie się czasami psują. Z resztą ja chcę tę rzecz w zupełném zapomnieniu zostawić.

OPIEKÓŃSKI.

Ależ kochany przyjacielu, ona ta mnie ma żadnej krzywdy... tyle tylko że odosobniona od ludzi.

ZJEWIŃSKI

Kiedy ja i tego nie chcę. (do *Balbiny*) Pani.... z dobrém... czułem i niewinném sercém, wstaw się za moją prośbą do Ojca.

LUCJA.

Już to co do niej, toś się Pan najwłaściwiej udał... ona małemu robaczkowi krzywdy nie pozwala zrobić, czasami to nawet przez zbytęczną swą czułość, własnemu zdrowiu szkodzi.

BALBINA. (*do Opiekónskiego*)

Bo zapewne, że niech Ojciec każe Klotyldę uwolnić... kiedy pan Zjawiński tak wspaniałomyślnie przebacza....

OPIEKÓNSKI (*przerrywając*)

A!.. już muszę waszemu żądaniu zadosyć uczynić: Lecz otwarcie wam mówię, że się to wcale z moim przekonaniem nie zgadza (*dzwoni*)

SCENA I4.

CIŻ i JAN.

JAN.

Pan Bronowłocki syna przyprowadził... (*Na domówieniu tych słów, Bronowłocki wprowadza z związanemi wtył rękami Teodora.*)

SCENA 15.**CIŻ, BRONOWŁOCKI i TEODOR.***(wszyscy zdziwieni)* ZJAWIŃSKI *(loprzybyłych)*

Cóż to ma znaczyć?

BRONOWŁOCKI *(z rozpaczą pokazując syna)* Oto jest moja pociecha jakiej doczekałem w starości!.. przedstawiam Panom Ojco-bójcę!.. tak!.. bo wolałbym gdyby od razu na wskruś przeszły me zbolełe serce! niżli tak okropnie, nielitościwie a powoli męczyć! *(do Opiekóńskiego)* Prawda że się hardo stawił tak w domu Pańskim, jak przy rewizyi w moim, ujmując się za niegodnym!... Lecz za to teraz, z największą rozpaczą!... z rozdartém od boleści sercem! przepraszam cię Panie za to! Ten to wyrodny syn! którego tak broniłem! dziś, dręczony wyrzutami sumienia! padł mi do nóg i wyznał: że wszedł pokryjomu domieszkania Pańskiego i wechwili kiedy pan Zjawiński usnął na kanapie,

zabrał zegarek z łańcuchem, szpilkę, pierścionek i tabakierkę. — Pomimo słabości, zwlokłem się z łóżka! zkrępowalem zbrodniarzowi wtył ręce i stawiam go przed Panami!... róbcie z nim co wam się spodoba, ja do niczego wtrącać się nie myślę... dopełniłem już swojego obowiązku... nie mi ciężać ztój przyczyny na sumieniu nie będzie... mogę teraz spokojnie umierać, bo już grób widzę dla siebie otwarty:—

TEODOR.

Ojczel...

BRONOWŁOCKI (*w uniesieniu z żalem*). Ani słowa!... jak śmiesz temi plugawemi ustami wymawiać święte imię Ojca! Ja nie mam już syna!... jestem opuszczony starzec!... wydarłeś mi niegodny, całą opiekę i pomocy nadzieję wstarości. Niechcę cię znać! każdy kawałek chleba przez ciebie mi podany,

uważałbym jako truciznę, któraby mi wewnątrzności okropnym wspomnieniem twojego występku targała.

TEODOR (*na stronie*)

O!... jak to okropnie widzieć tak rozgniewanego Ojca!...

ZJAWIŃSKI (*do Bronowłockiego*)

Na moją instancję, chciój rozwiązać syna.

BRONOWŁOCKI.

Przepraszam Pana... ale ja się go nie dotknę; jabym tu zaraz trupem padł w oczach państwa.

ZJAWIŃSKI (*do Jana*)

Janie odwiąż mu ręce! (*Jan odwiązuje. do Opiekóńskiego*) Czy już kazałeś Przyjacielu uwolnić tę dziewczynę, która jak się teraz pokazało, niewinnie posądzona była.

OPIEKÓŃSKI (*do Jana.*)

Idź Janie, uwolnij Klotyldę!

ZJAWIŃSKI.

I przyprowadź ją tutaj (*Jan wychodzi.*)

SCENA 16.

CIŻ PRÓCZ JANA.

ZJAWIŃSKI. (*do Teodora.*)

Ja ci z serca przebaczam młodzieńcze, twój zapewne pierwszy godny nagany postępek, a nawet od wzrotu wziętych rzeczy uwalniam. Lecz chciej usłuchać méj proźby, proźby swojego przyjaciela, ażebyś podobnym czynem, nie skracał życia ojcu, które dla dobrego dziecka jest najdroższym skarbem.

TEODOR. (*z rozczuleniem*)

O! jak dobrym jesteś panie! bodaj ci Bóg dał to, czego najwięcej pragniesz.

BALBINA (*do Lucyj.*)

Jak się ucieszył... że mu darowane kosztowności zostały.

LUCJA.

Ma zaco Panu Bogu dziękować.

OPIEKÓŃSKI.

Ludzi tylko psuje.

BRONOWŁOCKI. *(do Zjawińskiego)*

Ja nie powinienbym Panu dziękować, bo wdzięczność za jego łaskę temu niegodziwcowi wyświadczoną, okazała by czułość dla niego... a on ją wydarł raz na zawsze z serca mojego! Lecz że jesteś dobrym Panie jakich mało, przeto o twą pomyślność błagać będę Boga i do codziennych modłów jeszcze jedną modlitwę za ciebie dołączę i takową rano i wieczór póki życia wystarczy, odmawiać będę.

LUCJA. *(do Balbiny)*

Wierzę bardzo, że za kosztowności pięćset dukatów wartości mające, modlić się warto.

BALBINA.

Jaka wielka cnota...

OPIEKÓŃSKI

Niby on o tem nie wie? to wszystko zręczne udanie... uszy mię bolą słuchać,

doprawdy... (*Wtem wchodzi Klotylda.*)

SCENA 17.

CIŻ i KLOTYLDA.

ZJAWIŃSKI (*do Klotyldy*)

Twoja niewinność Panienko została wykrytą i dla tego to prosiłem twojego Opiekóna, żeby cię na wolność kazał wypuścić, albowiem występny, sam wyznał swą winę.

KLOTYLDA (*zmięszana.*)

A gdzież jest ten występny, który się przyznał do winy?

OPIEKÓŃSKI (*z szyderstwem*)

Twój miły kochanek, syn pana Bronowłockiego.

BRONOWŁOCKI. (*do Opiekónskiego*)

Jemu jest na imie Teodor, chciej go Panie z łaski swojej imieniem wskazywać, bo on nie jest godnym nosić mojego nazwiska.

KLOTYLDA. (*zdziwiona*)

Kto jest winnym? kto!

OPIEKÓŃSKI.

Przecież ci powiedziałem, Teodor jak go Ojciec nazywa.

BRONOWŁOCKI.

Znowu Ojciec! jak to boleśnie serce rozdziera!

KLOTYLDA.

Nie Panie! on jest niewinnym! on mnie broni! był u mnie przed chwilą, wyba-
dał wszystkie szczegóły dotyczące tej
sprawy. *(do Bronowłockiego.)* Nie wypieraj
się Panie syna, bo on jest najcnotli-
wszym człowiekiem i godnym twojego
nazwiska.

BRONOWŁOCKI.

Co mówisz Panienko! czy ty mi chcesz
powrócić prawie utracone życie?

KLOTYLDA.

Gotowam przysięgę wykonać, że jest
niewinnym?

ZJAWIŃSKI. *(do Opiekóńskiego)*

Otóż teraz dopiero jestem ciekawy.

OPIEKÓŃSKI.

Co chciałeś z nimi poradzić... wszyscy do jednego należą, a jako wspólnicy, bronią się wspólnie.

ZJAWIŃSKI.

Przecież Teodor sam się do winy przyznawał....

OPIEKÓŃSKI

Bo chciał obronić Klotyldę, a kiedy ta uwolnioną została, nie wiedząc żeś już ułaskawił Teodora, chce go także obronić.

BALBINA.

Ale tak, nie inaczej.

ŁUCJA.

Przysięgłabym że to jest zмова.

ZJAWIŃSKI (do Klotyldy.)

Alboż tobie Klotyldo wiadomy jest sprawca kradzieży?

(Klotylda spuszcza oczy na dół i nic nie odpowiada)

TEODOR

Klotylda widziała osobę która kosztowności zabierała, lecz zaprzysięgła że jej nie wyda. Nie wiem jakby to rozumieć?

OPIEKÓŃSKI (*zmięszany*)

To znowu coś nowego!

BALBINA.

Ale!..

LUCJA.

Na różne się wykręty sposobią.

ZJAWIŃSKI. (*który nie spuszcza z oka Klotyldy, do Opiekóńskiego*)

Jakim sposobem ta panienska w twój dom się dostała, Panie Opiekóński?

BALBINA. (*na stronie*)

Panienska!...

LUCJA. (*na stronie*)

W twój dom!...

OPIEKÓŃSKI. -

To długa historia, nie czas o niej mówić.

ZJAWIŃSKI

Ale kiedy ja cię proszę.

ŁUCJA. (*do Opiekónskiego*)

Czemusz nie opowiesz?.. tak właśnie jak byś bronił sławy jednego podrzutka, który tyle ambarasu w naszym domu narobił. (*Teodór spogląda na Lucją wzrokiem obrażonego.*)

OPIEKÓNSKI.

W roku tysiąc ósmset trzynastem, wracając z Łomży, przejeżdżałem przez Pułtusk... Niedaleko od miasta w krzakach, zaraz pod lasem, krzyk małego dziecka obił się o moje uszy. Zsiadłem, pobiegłem w krzaki i znalazłem tę dziewczynę, niemiała wówczas zapewne jak rok... zabrałem z sobą, oddałem do jednej znajomej wdowy, u której się do lat dziesięciu chowała, a po jej śmierci wziąłem ją do dworu.

ZJAWIŃSKI (*w największym stopniu zmieszany*) Kochany przyjacielu!

Tom IV.

11

gdzie? pod którym lasem ją znalazłeś?

OPIEKÓŃSKI.

Mówię ci że w pierwszym z tamtej strony Pułtuska.

ZJAWIŃSKI.

W którym to było miesiącu?

OPIEKÓŃSKI.

W końcu Lipca, w sam dzień Świętej Anny; pamiętam jak dzisiaj, przed południem.

ZJAWIŃSKI (*złożywszy ręce przed siebie*) O mój Boże!... po siedemnastu latach poszukiwania! i kiedym już zupełnie stracił nadzieję: znajduję biedną nieszczęśliwą dziewczynę! popychaną sierotę!... o kradzież obwinioną!... a w ostatku pod moim bokiem więzioną! a tą sierotą! tą obwinioną jest córka moja!.. Chodź w moje objęcia Anusiu, najdroższemu dziecią. (*Klotylda rzuca się do nóg Zjawińskiemu, wszyscy w największym zdziwieniu.*)

VI tom

KLOTYLDA.

Drogi Ojczy! serce moje przeczuwało to, że jesteś moim Ojczy, ale nie śmiałam o tém pomyśleć, i szczególną to skłonnością wiedziona, chciałam Ci się choć śpiącemu przypatrzeć.

ZJAWIŃSKI (*podnosząc Klotyldę do obecnych*) Niech was to moi Państwo nie dziwi, w krótkości wam rzecz całą wyjaśnię: Gdy zostałem wdowcem córka moja miała wówczas parę tygodni..... chciałem zaraz opuścić mieszkanie niemiłymi wspomnieniami napełnione i udać się do Warszawy, lecz że jak mówię Anusia była przy pierśi, do końca roku zatrzymać się musiałem. W dzień zostawienia Anusi od pierśi piastónka, która już w podróż była przyjęta, dla od tęchnienia ją od mamki, a przyzwyczajenia do siebie, wychodziła z nią sama na spacer, a że blisko lasu mieszkałem, przeto razu jednego pia-

stónka ze swojemi towarzyszkami poszła ku lasowi na spacer. Towarzyszki udały się za jagodami, a ona z dzieckiem w krzakach się bawiła... Dziecię... jak potem mówiła piastónka, napiérało się kwiatków, ona chcąc je zabawić posadziła na murawie, kilka kroków odeszła i kwiatków na bukiecik szukała: Uzbięrawszy, wraca się na powrót, dziecka już nie zastaje, czyli od razu do niego trafić nie może. W krzyk! przybiega do dworu! całą wieś rozpędziłem w poszukiwaniu! ale wszystko było na próżno i dopiero dziś! po siedemnastu latach! znajduję przecież utraconą córkę... O! droga Anusiu!.. Żywy portrecie Matki! kocham cię nad życie!... ty będziesz teraz zupełnie szczęśliwą i twój ojciec przy tobie.—Państwu Opiekóńskiemu wdzięczność dozgonną za wychowanie mej córki mieć będę, a nawet powrócę wyłożone koszta.

OPIEKÓŃSKI. (*nadzwyczajnie
zmięszany*) E... to mała bagatela.. to obo-
wiązek... ludzkości nakazywał.

ZJAWIŃSKI (*do Lucyj i Balbiny*)

Panie wychowałyście mi córkę, a jak-
kolwiek nie podług jej stanu, to jednak
żyje i jest zdrową, dla tego więc i Im mo-
cno jestem obowiązany.

ŁUCJA.

Panna Anna może się będzie żalić przed
Panem, na cierpkie nasze czasem postę-
powanie, ale to wszystko dla jej dobra
było.

BALBINA.

Wiem że mię Anusia nie lubi, ale bar-
dzo niesprawiedliwie, bo ja ją zawsze
kochałam i dla tego właśnie jako star-
sza, strofowałam czasami niektóre jej
dziecinne wykroczenia.

KLOTYLDA

Niemam żadnej urazy do nikogo i o

11*

nie żalić się nie będę, bo wdzięczność za wychowanie, wszystkie urazy zagłusza.

TEODOR *(na stronie)*

Cała moja nadzieja z pełzła w tej chwili, ona teraz panią... bez wątpienia mną wzgardzi.

BRONOWŁOCKI *(do Zjawińskiego)*

Panie! czujesz rokosz w swem sercu, żeś odzyskał córkę? dopomóż mi więc ażebym znalazł utraconego syna, bo dotąd jeszcze nie wiem....

ZJAWIŃSKI *(do Klotyldy)*

Anusiu... jak mię kochasz, tak wyjaśnisz tę okoliczność, którą teraz błogosławię, bo za jej pośrednictwem jestem dziś szczęśliwy.

KLOTYLDA

Jak Cię kocham mój Ojczy, tak wydać nie mogę, przysięgam Ci tylko na miłość jaką mam dla Ciebie, tak ani Teodor, ani ja nie nie wpływamy do

tego, a jak on, to zupełnie o niczym nie wiedział.

ZJAWIŃSKI.

Cóż masz w tém za przyczynę, że wydać nie chcesz winnego?

BRONOWŁOCKI.

Teodor coś wspominał... że przysięga usta Pannie krępuje... niewiem jak by to rozumieć można... (*Wtém krzyk za sceną daje się słyszeć:*) Panicz się zabił!... Panicz się zabił! (*wszyscy jakby piorunem, rażeni przestrawem, stoją w osłupieniu, wtém drzwi się otwierają i Jan wraz z innemi służącemi, wnoszą Agapita na scenę.*)

SCENA IS.

CIŻ i AGAPIT.

LUCJA. (*ztrwożona podnosi Agapita*) Agapiciu!.. Agapiciu!.. cóż ci się stało! O mój Boże! cóż to za nieszczęście!

BALBINA.

Agapiciu! przemów aby słowo.

OPIEKÓŃSKI.

Agapiciu! drogie dziecię moje! (*do Jana*)
Cóż się to stało? stoisz i nie mówisz.

JAN.

Paniez przystawiwszy drabinę do gołębnika, szedł po niej... gdy już był na najwyższym szczeblu, drabina się obsuwała i spadł z tak wysokiego miejsca.

LUCJA.

O!... nieszczęście! drogi Agapiciu! moja pociecho i przysła nadziejo! .. Janie siadaj na konia! jedź po Cyrulika żeby mu krew puścił.. Agapiciu!.. Agapiciu!..

OPIEKÓŃSKI.

Agapiciu drogi! moja podpora w starości. Trzeba go rospiąć.. bo mu duszno.

AGAPIT (*przychodząc nieco do przytomności, słabym głosem:*)—Nie... nie trzeba rospinać.

OPIEKÓŃSKI

Duszeko moja kochana.

LUCJA.

Mężu zdejm mu surducik, zobaczymy gdzie się pokaleczył. (*Opiekóński rozpina surdut, w tém z za surduta wypada zegarek, pierścionek, szpilka i tabakierka.*)

TEODOR (*z szybkością podnosząc.*) Oho!... już jest zguba!.. teraz łatwo się domyśleć można, dla czego panna Klotyllda, wydać nie chciała sekretu.

KLOTYLDA (*na stronie mocno zmięszana*) Już się wydało!

(*Balbina Lucja Opiekóński jakby utracili zmysły, stoją w osłupieniu, chwila milczenia potem.*)

LUCJA. (*do służby*)

Wynieście Agapitka do drugiego pokoju i połóżcie na łóżku, bo mu tu zaduszo. (*Służba wynosi Agapita, Balbina Lucja i Opiekóński z zpuszczonemi na dół oczami za nimi do drugiego pokoju wychodzą i drzwi zamykają.*)

SCENA 19.

**ZJAWIŃSKI, KLOTYLDA, BRONOWŁOCKI,
TEODOR.**

BRONOWŁOCKI (*ściskając syna*)

Kochany synu! i sto razy więcej jeszcze ukochańszy! bo cię już straconego znalazłem (*wspólne uściśnienia.*)

TEODOR.

Ile ja cierpiałem natém żeś mi Ojciec złorzeczył, ale obrona tej Pani, znieść mi to wszystko kazała.

ZJAWIŃSKI.

Prawda żeście wielkiej doświadczyli zniewagi; do mnie ja należy wywdzięczyć, bo ja na niej największą korzyść odniosłem. A nie mogę inaczej wynagrodzić, jak tylko, kiedy ci ofiaruję mój Panie Teodorze rękę mojej córki. Wszakże na to Anusiu przystajesz?

KLOTYLDA (*całując w rękę Zjawińskiego*) Tak... drogi mój Ojciec!.. kocham Pana Teodora! bo on mię wten-

czas nawet kochał, kiedy mną wszyscy gardzili.

TEODOR. (*całując w rękę Zjawińskiego*) Teraz już zupełnie jestem szczęśliwy. (*do Bronowłockiego*) Wiem że mój kochany Ojciec, szczęście moje dzieli.

BRONOWŁOCKI.

Ja już zapomniałem nawet o chorobie, zdaje mi się że mam dopiero dwadzieścia lat, tak jestem wesoły i szczęśliwy.

ZJAWIŃSKI

Teraz wszyscy razem wyjedziemy do moich dóbr, tam się odbędzie wesele Anusi z Teodorem, a my obadwa kochany Panie Bronowłocki, będziemy radzili, ażeby nasze dzieci ciągle były szczęśliwe.

BRONOWŁOCKI.

Najchętniej! z całej duszy na wszystko przystaję!

SPIEW II.

Tak na świecie los się snuje,
 Wciąż się jakoś zręcznie zwija,
 Tutaj utnie tu sztukuje,
 Tu uraczy, tu zaś mija.

A nim tego się spodziéwał,
 Kiedym rano dzisiaj płakał,
 Że w południe będę śpiewał,
 A wieczorem może skakał.

(Kortyna zapada.)

KONIEC DRAMMY.

03337

HYPOTEKA



KSIĘŻYCU

KOMEDIA W JEDNYM AKCIE.

(Ze śpiewkami)

Tom IV.

12

OSOBY.

—oo—

ZACIĄGALSKI, biędny Urzędnik,

HANNA, jego Żona.

SPRAWÓNKIEWICZ, przyjaciel Zaciągalskiego, na Wsi zamieszkały.

JÓZEFKA, służąca Zaciągalskich.

NATTAN, Żyd handlujący książkami.

BEZWZGLĘDNICKI, Kómornik.

DARMOSIŃSKI,

PRUŻNIAKIEWICZ, } Asystęci Kómornika.

WRĘCZALSKI, Woźny.

KWATERKIEWICZÓWNA, Szynkarka.

BUŁKIEWICZÓWNA, Przekópka.

DRATWIŃSKI, Szewc

WYCIERAŁSKA, dawna Służąca.

PRZEZCIAŃSKI, Dozorca zajętych ruchomości.

(Rzecz dzieje się w Warszawie)

SCENA 1.

ZACIĄGALSKI HANNA.

HANNA.

A więc dziś już termin licytacji!...

ZACIĄGALSKI.

I to za godzinę, bo o dziesiątej.

HANNA.

Czy już ci żadna obrona nie służy?

ZACIĄGALSKI.

Żadna... a żadna... wszystkich próbowałem.

HANNA.

O mój Boże!.. cóżmy teraz zrobimy!

ZACIĄGALSKI.

To, co i wielu innych, albowiem my to jedni tylko w Warszawie na tej drodze stojemy?..

HANNA.

Wszystko nam zabiorą!...

ZACIĄGALSKI.

Prócz zdrowia...

HANNA.

Mój kochany, już i zdrowie odstępować zaczyna... ja sama nie wiem doprawdy, na czyich nogach chodzę.

ZACIĄGALSKI.

Bardzo źle... a powinnaś pamiętać o tém że masz dzieci, którym nie krzesła, kanapa i stoliki, lecz twoje zdrowie jest potrzebném.— Bierz kochanie przykład ze mnie... widzisz jak dusza moja jest ciągle wytrwała, bo jak azbest w ogniu nie podlega zmianie.

HANNA.

Tak ci się zdaje... ale i ty nie raz jesteś smutnym i myślisz.

ZACIĄGALSKI.

Nie, ja o moich długach nie myślę... bo myśli próżne są owocem niedorzecznej

głowy. Jak ja mogę przypuścić abym długi wypłacił, kiedy się z nikąd pieniędzy nie spodziewam, a pensja na dziesięć dni tylko każdego miesiąca wystarcza... i jeżeli myślę, to tylko nad tém, ażeby można was przez następne dni dwadzieścia wyżywić. Żebyśmy mówię z głodu nie po umierali.

HANNA.

I niby się tém nie martwisz?...

ZACIĄGALSKI.

Z początku, ale teraz tak się przyzwyczaiłem do tego, że się to moją stało drugą naturą.

HANNA.

Gdyby tak było... mógł byś się nazwać człowiekiem prawdziwie szczęśliwym.

ZACIĄGALSKI.

Szczęliwym... jak szczęśliwym, ale się też rozpaczy poddawać nie myślę.

HANNA.

Gdzież my się podziejemy, jak nas

z tądz dziś wyrzuca i rzeczy zprzedadzą?..

ZACIĄGALSKI.

Możesz być pewną, że na ulicy mieszkać nie będziemy, bo nawet, policja na to nie pozwoli.

HANNA.

Dzieci drobne! starzy Rodzice!

ZACIĄGALSKI.

Dajże mi pokój... moja kochana. Nad czém tu myśleć teraz, dosyć czasu za godzinę będzie.

HANNA (*smutnie*)

Rychło wczas....

ZACIĄGALSKI.

Jedna chwila myśli swobodnej, jest droższą jak dzień cały smutku.

HANNA.

Ani grosza w całym domu nie mamy, ostatnią złotówkę na śniadanie dałam.

ZACIĄGALSKI.

Aleśmy już zjedli śniadanie?

HANNA.

Daleko do obiadu....

ZACIĄGALSKI.

Jeszcze parę godzin.

HANNA.

Ale już niemamy co zastawić.

ZACIĄGALSKI.

Mam tu jeszcze trzy książki, które nie są zajęte; kazałem przyjść handlarzowi, może je kupi.... a będziemy mieli na obiad....

HANNA.

A potem?..

ZACIĄGALSKI.

Znowu potem!... A cóżto za kobiéta!... bez najmniejszej religji! przecież na dziś tylko o chleb Pana Boga prosisz, dla czegoż więc myślisz o jutrze. (*Hanna zamyślona*) I oczémże dumasz Hanno?... nie myśl... Bóg dobry biędnych nie opuszcza, może i nam kiedy los szczęsny zaświta!...

HANNA. (*przerywając*)

Ala kiedy!.. wtenczas może, jak my na największą hańbę! wśród najokropniejszej nędzy! wystawieni będziemy.

ZACIĄGALSKI.

Hańbę!... a cóż ty nazywasz hańbą?

HANNA.

Alboż to, że nas zradują, że nam pensję z wszech stron przy aresztowano! że wszystko wyzastawiane!... że zima nadchodzi a dzieci i my lekko jesteśmy ubrani i że wierzyciele czernią cię wszędzie i jako człowieka niegodnego wiary, nierzetelnego uważają, a nawet szachrajem nazywają, czem że jest u ciebie?

ZACIĄGALSKI.

Nie..... ja tego nie nazywam hańbą, co mojego sumienia nie plami. — Wtenczas gdybym chował pieniądze i jedynie korzystając z łatwowierności osób nie doświadczonych, pożyczki od nich zaciągał... na zbytki i rozpustę pożyczone pieniądze roztrwonil, to by mię

hańbiło przed światem i wewnątrznie dręczyło; ale że gwałtowne potrzeby zmagają mię do robienia długów...

HANNA. *(przerywając)*

Powiedzże to wszystkim ludziom, którzy są zupełnie innego zdania i w najgorszym świetle widzą nasze nieszczęście i po większej części się śmieją.

ZACIĄGALSKI.

Przecież zwierzęta śmiać się nie potrafią; śmiech jest tylko ludzi udziałem, ludzi mówię; którzy w małej jęczą boleści, a śmieją się z drugiego, gdy ten się przewróci i nogę na ulicy złamie. Z resztą wszystko się to z czasem skończy, i ci którzy się znas śmieją i my którzy pośmiewiska stajemy się powodem, zarówno i niedługo po umiéramy, a po śmierci już śmiać się nie potrafią i ja z ich śmiechu żartować będę. *(po chwili)*

Hanno nie zamysławaj się na próżno... dziś licytacja i musimy się wynosić ko-

niecznie. Każ związać poduszki i kołdry w prześcieradło... dzieci po ubieraj... garderobę swoją włóż na siebie, ja w mojej już stoję i bądź w podróż gotową.

HANNA (z płaczem)

I gdzie się wyniesiemy?

ZACIĄGALSKI.

Czekam właśnie na mojego przyjaciela, który za interessami przybył do Warszawy i ma tutaj parę tygodni zabawić; najął obszerne mieszkanie, bo z dwóch pokoi złożone, to może nam ustąpi jednego.

HANNA.

A potem?

ZACIĄGALSKI.

Znowu potem!.. jeszcześmy tego nie przeżyli!... przecież wiesz że ani grosza nie mam, a przy pieniądzech tylko stanowcze projekta układać można.

HANNA.

Na czém że będziemy sypiali? kiedy

nam łóżka zabiorą!

ZACIĄGALSKI.

Na ziemi... alboż to nie wygodnie?.. szeroko... dziecko żadne nie spadnie... głowy nie rozbije.

HANNA (z rozpaczą)

O mój Boże! sypiać na ziemi!

ZACIĄGALSKI.

Moja kochana, gdybym więcej nie miał kłopotów, jak tylko ten jeden, że mam sypiać na ziemi, śmiałybym się z radości. Przecież i łóżko nie gdzieindziej stoi... a czy mam z łóżkiem leżeć na ziemi, czy sam, to mi wszystko jedno. Zresztą wspomnij sobie najpierwszych naszych rodziców: byli to ludzie... zacni... godni... nikomu nie nie winni... nikt ich nie tradował... o Kómornikach wtenczas nie słyszano, a dla tego i to w późnej starości na ziemi sypiali. Piotr wielki ucząc się budowania okrętów. Sobieski pod Wiedniem, mężny Żółkiewski, wiel-

ki Napoleon i inni waleczni mężowie na
czem że sypiali? powiedz, na ziemi i to je-
szcze pod gołym Niebem. Dlaczegoż my,
dłużnicy, których ze wszech stron attaku-
ją, a dotego młodzi, bez żadnych zasług
osobistych w kraju, nie możemy sypiać
na ziemi?

HANNA.

Ależ.... dzieci !....

ZACIĄGALSKI. (*przerywając*)

Powiedziałem już raz, że bezpiecziej
spać będą, bo nie po spadają złóżka. —
Z resztą moja kochana ; ziemia nas ży-
wi... pielęgnuje... w ziemi nasza nadzie-
ja... ziemia nas zamknie na wieki i dla
czegoż się mamy trwożyć, że na chwilę
do jej łona, jak dzieci do swej matki,
przyciskać się będziemy.

SPIEWKA I.

Wszak ziemia nas ciągle żywi?

Ziemia rodzi pokarm ludzi,

Z niej się żywią tak szczęśliwi,
 Jak ci, których szczęście łądzi.

Ziemia rokosze wyprawia,

I nędzy ulgę nieść zdoła,

Wszystko na rozkaz wystawia,

O co człek na nią zawoła.

Cnota do niej dłoń wyciąga,

Zbrodnia chodzi szumnym krokiem,

Bogacz swoje skarby ściaga,

Żelbrak patrzy łzawem okiem.

Zgrzybiatego starca znosi,

Dziewcze młode lekko skacze,

Jeden rokosz zbytki głosi,

Drugi w nędzy ciągle płacze.

A gdy skończysz podróż swoją,

Jak śmierć zamknie ci powieki,

I cóż zrobią z bryłą twoją?

Wrzucą ją w ziemię na wieki.

W nią się kładą tak purpury,

Jak łachmany czarne z błota,

Tak wyrodki od natury,

Jak pokorna eicha cnota.

Bo ziemia dobra cierpliwa,
 Tych samych w życiu ratuje,
 Których się później spodziewa,
 I których później przyjmuje,
 Idź idź, moja Hanno, zrób tak jak mó-
 wiłem, nie martw się. „Bóg ma więcej
 jak rozdał. (*Hanna smutna odchodzi.*)

SCENA 2

ZACIĄGALSKI (*sam*)

Prawda że smutne nasze położenie.
 Dzieci dorastają, edukacji potrzebować
 zaczną, a tu w tej chwili nie ma im za co
 chleba nawet kupić. Graciny nie szcze-
 gólne, które mi ojciec mojej żony kupił
 przed rokiem, dał za nie przeszło ośmset
 złotych, dziś za wpół darmo sprzedadzą
 i nadziei nawet niema kiedy i za co bę-
 dzie można drugie, chociażby i liche
 nabyć. Długów mnóstwo... ciężko na
 ulicy kilka kroków postąpić bo palcem
 pokazują; lecz cóż zrobić? muszę cierpieć,
 kiedy taka Najwyższego wola a nigdy

się nie poddam rozpacz.

SPIEWKA 2.

Póki człowiek z cnotą chodzi,

Póty wśród nędzy jest dumny.

Rozpacz zgubne skutki rodzi,

Kto ją chwyta nierozumny.

Gdy nic zarzucić nie zdoła,

Choćby nawet i wróg, mściwy,

Gdy nie z hańbisz swego czoła,

Pótyś jeszcze jest szczęśliwy.

Lecz gdy rozpacz opanuje,

I zgubną wadą okryje,

któż cię wtenczas poratuje,

Lepiej taki niech nie żyje.

Ludzie powodów nie znają,

Nie wchodzą w złego przyczyny,

I na nic względów nie mają,

W dziesięć mnożą twoje winy,

Mięka dusza wśród pieniędzy,

Ze wsząd zalety odnosi.

Twarda jak stal w pośród nędzy,

Małym błędem zbrodnią głosi.

Gdy biédnego głowa boli,
 Nazwą go pewnie pijakiem,
 Bogacz niech pije do woli
 Będzie zuchem i junakiem.
 Chciwiec cnotę głosi w kraju,
 Chociaż własność cudzą liczy,
 Nikt nie woła nań szachraju,
 Choć nie odda jak pożyczczy.

A człek biédny jak z niedoli,
 Kilka złotych skredytuje,
 Choć go dusza na to boli.

Każdy woła: „On szachruje!”

I cóż robić w takiej dobie,
 Chociaż rozpacz czasem kusi,
 Perswadować trzeba sobie,
 Że się skończyć wszystko musi.

(Sprawónkiewicz wchodzi)

SCENA 3

ZACIĄGAŁSKI SPRAWÓNKIE-
 WICZ.

SPRAWÓNKIEWICZ. *(wchodząc)*

Żałuję że razem z tobą nie przysze-

dłem do ciebie, bo zapomniałem numeru i tak tylko na los szczęścia szedłem i przecież żydzi których chmara stoi przed kamienicą, pokazali mi twoje mieszkanie.—Czego oni się tak zebrali razem, ci panowie Żydkowie?

ZACIĄG VLSKI.

Dziś będzie licytacja w tej kamienicy.—

SPRAWÓNKIEWICZ.

Jaka licytacja?

ZACIĄGALSKI.

E... jeden z tutejszych lokatorów, komornego za pół roku niezapłacił.

SPRAWÓNKIEWICZ.

A! niech licho weźmie te wasze Warszawskie zwyczaję! ażeby zaś za komorne wszystko zaraz tradować.

ZACIĄGALSKI.

Gospodarz musi płacić podatki, czego by nie mógł zrobić, gdyby mu loka-

torowie komornego nie oddawali.

SPRAWÓNKIEWICZ.

! Czemuż bo nie płaca? kiedy już wiedzą że się tak z niemi gospodarze obchodzą. Ja bym najwprzód przed wszystkim zapłacił komorne.

ZACIĄGALSKI.

A potem razem z żoną i dziećmi, w zapłaconém mieszkaniu z głodu umierał.

SPRAWÓNKIEWICZ.

Dlaczegoż brać nadmożność mieszkanie?

ZACIĄGALSKI.

A jak kto żadnego zapłacić nie może? to zapewne nie powinien mieszkać zupełnie?

SPRAWÓNKIEWICZ.

To znowu co innego. Rychło idziesz do bióra. (*patrzy na zegarek*) Godzina już wpół do dziesiątej... myślałem nawet że cię już nie zastanę.

ZACIĄGALSKI.

Dziś nie pójdę do bióra, bo mam za-

trudnienie w domu.

SPRAWÓNKIEWICZ.

A wolnoż to tak u was, nie iść kiedy się podoba?

ZACIĄGALSKI.

Doniósłem Naczelnikowi że jestem chory.

SPRAWÓNKIEWICZ.

To dobry sposób, a uchodziż on?

ZACIĄGALSKI.

Tak... uchodzi, byle nie często.

(*Nattan uchodzi.*)

SCENA 4.

CIŻ i NATTAN z paką książek.

SPRAWÓNKIEWICZ.

Antykwaryusz widzę przyszedł do Ciebie?..

ZACIĄGALSKI.

Kazałem mu właśnie przyjść, bo mam pare książek do sprzedania.— (*szuka po biurku.*)

NATTAN (*do Sprawónkiewi-*

227) Może wielmożny Pan ma co do sprzedania? to kupię, ja dobrze płacę, niech powie pan Zaciągalski.

ZACIĄGALSKI *(szukając)*

Dobrze... co warto złoty daje trzy grosze i w tym stosunku wszystko nabywa.

NATTAN *(niezważając na to)*

Może wielmożny Pan co kupi? ja mam tu co dobrego do sprzedania.

SPRAWÓNKIEWICZ

Co byś ty mógł mieć dobrego... nosisz zapewne książki, których nikt niechce kupić w Księgarni?

NATTAN.

Bardzo przepraszam wielmożnego Pana, u mnie same dobre dzieła się znajdują. *(Rozwiązuje trzymane książki pod pachą.)*

SPRAWÓNKIEWICZ

Ciekawym...

NATTAN *(pokazując książkę)*

O!.. proszę Pana... to nowe dzieło... bar-

dzo dobre, drukowane w Orgelbranda drukarni, a jaka oprawa, to nie Żyd oprawiał, ale Introligator z Senatorskiej ulicy... proszę .. jaki papier...

SPRAWÓNKIEWICZ.

Najwprzód mi powiedz tytuł, ale nie przedstawiaj zalety, które na dobroć książki żadnego wpływu nie mają, Żydowska natura, ażeby zagłuszyć pochwałami.

NATTAN (*czytając tytuł*)

Córka Artysty...

SPRAWÓNKIEWICZ. (*śmiejąc się*)

Ha!.. ha!.. ha!.. To to ty takie dzieła dobrymi nazywasz! a dużo ich masz?

NATTAN.

Pare set mogę dostawić....

SPRAWÓNKIEWICZ.

Niedostawiaj bracie... będziesz miał czym w zimie w piecu napalić; a wreszcie, może, kto wie czy na Freta ulicy magazynierki, po kilka groszy, pare egzem-

plarzy od ciebie nie nabędą, bo to dzieło Autor dla nich jedynie napisał. — Cóż masz więcej?

NATTAN.

Trapista... dwa tomy..

SPRAWÓNKIEWICZ. *(z gniewem)*

Cóż u licha! same głóstwa mi pokazujesz! nie masz co lepszego?.. ja niechcę dzieł wydania tego Autora.

NATTAN.

Ne, — niech się wielmożny Pan nie gniewa, to mu, już pokażę coś dobrego teraz. — O! proszę Pana!

SPRAWÓNKIEWICZ.

Cóż to to jest?

NATTAN.

Spiewy historyczne państwa Rosyjskiego.

SPRAWÓNKIEWICZ.

No... tu bo format przynajmniej większy, możesz kilkanaście egzemplarzy na bibułę sprzedać. Na historyi się w praw-

dzie nie znam, lecz co poezja to jakaś, szczególna, Tatarska, na hała bała się kończy. Jeżeli nie masz co lepszego.... to daj pokój, niechwal się napróżno.

NATTAN (*związując książki do Zaciągalskiego*) Gdzie są te książki?

ZACIĄGALSKI (*dając trzy książki Nattanowi*) To są dzieła jakich nie masz i nigdy nie miałeś w swym szpitalu literackim.

NATTAN (*oglądając*)

Dla czego tu niema nazwiska Autora?

ZACIĄGALSKI

Alboż nie widzisz? cóż znaczą litery

E: K?

NATTAN (*uśmiechając się*)

Co mi to za podpis? widać że całe dzieło nicnie warto, kiedy się Autor wstydział swojego podpisu położyć. Nie.. nie kupię... ja takie kupuję dzieła co wyraźnie jest tytuł i Autor wydrukowany, jak na przykład: Korab Roman. Bogorja

Marceli. Rozmiar Soter. Oto mi są dzieła, takie rozumiem i takie kupuję! Nie masz Pan co lepszego?

ZACIĄGALSKI (*chocząc książki*)

Nie... nie mam...

NATTAN

Kiedy tak, to żegnajm Pana. — (*zabiera książki i wychodzi*)

SCENA 5.

CIŻ prócz NATTANA.

SPRAWÓNKIEWICZ.

No i cóż słyhać u ciebie przyjacielu? jakże ci się teraz powodzi? czy lepiej jak dawniej? Wieleż masz pensij?

ZACIĄGALSKI

Tak mi się mój bracie powodzi, jak to się zwykło biednemu powodzić w Warszawie. Siedzę w długach po uszy... ha, co mówię po uszy... trzy łokcie wyżejjsze nad uszy.

SPRAWÓNKIEWICZ

Ja wprawdzie mam nie wiele... alem

też grosza nie winien nikomu.

ZACIĄGALSKI.

To posiadasz bracie miljony, których ci zaszroszczę, bo ja wtenczas tylko długów nie miałem, dopóki byłem w kolébcie. Niewiem doprawdy, czy pod taką planetą się urodziłem, czy co?...

SPRAWÓNKIEWICZ.

Komużeś tak winien przecie?

ZACIĄGALSKI.

Żydom i Katolikom.

SPRAWÓNKIEWICZ.

Że ci to pożyczali.

ZACIĄGALSKI.

Tak... sto za sto, dostać jeszcze mogłem.

SPRAWÓNKIEWICZ *(zdziwiony)*

Sto za sto!.. czy to myć może?

ZACIĄGALSKI.

Kto daje na taką hypotekę, na jaką ja

Tom IV.

14

długi zaciągam, nie może brać mniejszego procentu.

SPRAWÓNKIEWICZ.

Na jakąż to hypotekę?

ZACIĄGALSKI.

Moja hypoteka jest na księżycu zapisana.

SPRAWÓNKIEWICZ.

Tak!.. to rozumiem .. Jakże wychodzą tui wierzyciele? zapewne ci nie grożą wystawieniem dóbr na subhastacją, bo zakaty daleko by musieli Kómornika posyłać i pewnie by tam nie chciał pojechać.

ZACIĄGALSKI.

Jak wczasie niebezpieczeństwa, wojsko zasłania się okopami, tak ja przed moimi wierzycielami zasłoniłem się czwartą częścią mej pensji, która w takiem jest oblężeniu, że jeżeli sykurs z kąd jaki nie spodziewany nie nadejdzie, to wątpię że by się kiedy z niego wydobyć zdołała.

SPRAWUNKIEWICZ.

To źle...

ZACIĄGALSKI.

I ja tak mówię. (*Wręczalski wchodzi.*)**SCENA 6.**

CIŻ i WRĘCZALSKI.

WRĘCZALSKI.

Czy zastałem w domu pana Zaciągalskiego?

ZACIĄGALSKI (*zbliżając się do Wręczalskiego.*) Jestem... alboż co?WRĘCZALSKI. (*z cicha*)

Mam tu pozew, od Herszka Rubin Liszt... o rubli srebrnych dwadzieścia pięć.

ZACIĄGALSKI.

A! ha!... wiem, wiem... połóż na stole.

WRĘCZALSKI.

Zaraz tylko napiszę komu wręczyłem.
(*Wyjmuje kalamarz pióro i zapisuje, po zapisaniu oddając Zaciągalskiemu*) Proszę Pana dobrodzieja, upadam do nóg. (*odchodzi*)

SCENA 7.

CIZ prócz WRĘCZAŁSKIEGO.

SPRAWÓNKIEWICZ.

Cóż to za jegomość?

ZACIĄGALSKI.

Woźny sądowy....

SPRAWUNKIEWICZ.

Czegóż on chciał?

ZACIĄGALSKI.

Pozwy mi wręczył od pewnego żyda.

(Kwaterkiewiczówna wchodzi.)

SCENA 8.

CIZ i KWATERKIEWICZÓWNA.

KWATERKIEWICZÓWNA.

Pięknie bardzo!.. myślisz się Pan wy-
prowadzać! a rubla mi nie oddajesz!
przecież ja muszę za piwo mojej pani
zapłacić! inaczej wytrąci mi z zasługi.

ZACIĄGALSKI.

Moja droga, nie gniewaj się... ja wiem
że ty nietaka zła jesteś, jak się być wyda-
jesz... tyś sobie tak umyślnie minkę swo-

ją ładną nastroiła, ażebyś to niby zagniewaną udała, ale ja wiem że się ty rozśmiejesz.. (*Kwaterkiewiczówna się uśmiecha*)
 O!.. widzisz przyjacielu, jak to ja znam dobrze, gniew takich ładnych i miłych panienek.

KWATERKIEWICZÓWNA.

Ale proszę Pana, kiedyż mi Pan oddasz? wszakże to ja trzeci miesiąc już czekam, a Pan od pierwszego do pierwszego zwłuczysz.

ZACIĄGALSKI.

Bądź pewną że teraz ci oddam... na tego pierwszego.

KWATERKIEWICZÓWNA.

A gdzież ja Pana będę szukała?

SPRAWÓNKIEWICZ.!

Szkoda tak ładnej panienki, ażeby po taką bagatelę sama przychodziła. Ja jej zapłacę, a ty mi potem oddasz przyjacielu!

ZACIĄGALSKI.
 A... kiedy mi chcesz odebrać przyjemność, widzenia jeszcze parę razy takiego ładnego buziaczka, to zapłać. (*Sprawónkiewicz daje rubla Kwaterniewiczównie.*)

KWATERKIEWICZUWNA.

Ślicznie Panu dobrodziejowi dziękuję... upadam do nóg Panom. (*odchodzi*)

SCENA 9.

CIŻ prócz KWATERKIEWICZÓ.

WNEJ.

SPRAWÓNKIEWICZ.

Zacóżes ty był winien jej rubla?

ZACIĄGALSKI.

Za piwo... bo ona jest z dołu szynkar-
 ką. —

SPRAWÓNKIEWICZ.

Darnj, ale ten dług wcale nie był potrzebny; bo kiedy kto nie ma na piwo, niech pije wodę.

ZACIĄGALSKI.

Ale jak butelka piwa, przy wziętym

chlebie także na kredyt, stanowiąc miała nasz całodzienny pokarm... to jakże nie było ją wziąć? kiedy poczciwa szynkarka przynajmniej zkredytowała.

SPRAWÓNKIEWICZ.

Przecież tak źle być nie musi jeszcze.

ZACIĄGALSKI.

Co ty tam wiesz na wsi mój Bracie.. Ty nawet nie masz wyobrażenia jak my tu żyjemy w Warszawie. *(Bólkiewiczówna wchodzi.)*

SCENA 10.

CIŻ i BÓŁKIEWICZOWA.

BÓŁKIEWICZOWA.

Bardzo pięknie! ludzi zarywać! prosiłeś się Pan do pierwszego, témczasem dzisiaj się wyprowadzasz! szczęście żem spostrzegła, bo nie wiem gdzie-bym moich dziesięciu złotych szukała.

ZACIĄGALSKI.

Nie potrzebujesz mię Pani szukać, bo ja jej sam na pierwszego odniosę.

BULKIEWICZOWA.

Tak... zapewne... tutaj na przeciwko
mieszkam a doprosić się nie mogłam,
cóż dopiero kiedy się Pan wyprowa-
dzisz na inną ulicę.

ZACIĄGALSKI.

Blisko mieszkając, byłem pewny że
subiekcyj nie zrobię pani że mię czasami
odwiedzisz, dla tego więc z przyczyny
różnych okolicznosci prosiłem byś mi
poczekać, ale wyprowadziwszy się nie
zechcę ją zatrudniać i natychmiast na
pierwszego oddam.

BÓLKIEWICZOWA (*niedowierzając*)

Ale... na którego?

ZACIĄGALSKI.

A na któregożby? na tego.

BÓLKIEWICZOWA.

Niechże Pan przynajmniej karteczkę
napisze.

ZACIĄGALSKI.

Z największą chęcią.

SPRAWÓNKIEWICZ.

Na taką bagatelę nie warto dawać rewersów. (*Wyczuje dziesięć złotych i płaci.*)

ZACIĄGALSKI.

(*Kiedyś tak łaskaw, to i owszem. (na stronie)*) Żeby mi się jeszcze ze dwóch takich kasjerów zjawilo to by może wszystkie moje długi spłacili.

BÓLKIEWICZOWA (*na stronie.*)

Chwała Bogu!... wolę pieniądze jak karteczkę.

SPRAWÓNKIEWICZ (*dając dziesięć złotych Bólkiewiczowej*) Proszę Pani, oto jest dziesięć złotych.

BÓLKIEWICZOWA.

Slicznie dziękuje Panu.—Upadam do nóg. (*wychodzi.*)

SCENA 11.

CIŻ prócz BÓLKIEWICZOWEJ.

SPRAWÓNKIEWICZ.

A jèj znowu za co byleś winien?

ZACIĄGALSKI.

Za najpotrzebniejszy przedmiot do życia, o który codziennie Pana Boga prosimy... za chleb. *(Dratwiński wchodzi.)*

SCENA 12.

CIŻ i DRATWIŃSKI.

DRATWIŃSKI.

Już bóty zdarłem chodząc do Pana o taką bagatelę się upominać! wstyd do prawdy, żeby pięciu złotych nie oddać!. teraz już nie ustąpię dopóki mi Pan nie zapłacisz.

ZACIĄGALSKI.

E... jeszcze mam nadzieję że mi do pierwszego zaczekasz, mój Panie majster.

DRATWIŃSKI.

Ani godziny!.. dosyć tych pierwszych już było.

SPRAWÓNKIEWICZ. *(do Zaciągalskiego.)*

A jemuza co dłużny jesteś?

ZACIĄGALSKI

Za podzelowanie butów...

SPRAWÓNKIEWICZ. (*ż przyciskiem*)

To mu zapłać, a niech głupstw nie wygaduje.

ZACIĄGALSKI.

Kiedy nie mam przy duszy grosza.

SPRAWÓNKIEWICZ. (*placąc pięć złotych Dratwińskiemu*) Masz Asan swoją należność, ale na drugi raz bądź grzeczniejszym.

DRATWIŃSKI (*odbiierając*)

Kiedy bo to Panie .. bięda... roboty nie wiele... to jakoś trudno być grzecznym, a szczególnie tam, gdzie odebrać nie można. (*odchodzi*)

SCENA 13.

CIŻ prócz DRATWIŃSKIEGO.

ZACIĄGALSKI.

Mój dobry przyjacielu, dziękuje ci sto-krotnie za twoją łaskę, bo mię ratujesz.

w prawdziwej potrzebie, jak będę miał to ci z podziękowaniem oddam.

SPRAWÓNKIEWICZ.

No... no, zapisz mię bodaj na ostatni numer swojej hypoteki, a będę czekał cierpliwie. (*Wycieralska wchodzi.*)

SCENA 14.

CIŻ i WYCIERALSKA.

WYCIERALSKA.

Czy nie zastałam Pani?

ZACIĄGALSKI.

Jest w drugim pokoju.

WYCIERALSKA.

Przyszłam prosić Pana o zapłacenie mojej należitości, za kwartał mój służby. Już to drugi rok, chwała Bogu się kończy, a odebrać nie mogę! z dziesięć par trzewików zdarłam chodząc po zasługę do Państwa! wszystko mi się zdaje że trzeba mi będzie udać się do Kantoru na skargę.

ZACIĄGALSKI.

Idź moja kochana do Pani, to się rozmówi z tobą.

WYCIERALSKA (*odchodząc do drugiej stancyi*) Wieleż to już tych rozmów było, a wszystkie na nic się nie zdały.

SCENA 15.

CIŻ prócz WYCIERALSKIEJ.

SPRAWÓNKIEWICZ

Ty jesteś jak widzę w wielkich kłopotach, mój bracie?

ZACIĄGALSKI

To jeszcze nic... to jeszcze mówię jest zero, przeciwko tém jakich się spodziewam.

SPRAWÓNKIEWICZ.

A czegoż to się takiego spodziewasz?

ZACIĄGALSKI.

Zatrzymaj się, a zobaczysz zaraz...

SPRAWÓNKIEWICZ.

E!... he!... kto wie, czy ta licytacja na

Tom IV.

15

Którą Żydzi się zchodzą, nie jest na twoje ruchomości ogłoszoną?

ZACIĄGALSKI.

Zgadłeś od razu!

SPRAWÓNKIEWICZ.

A to znowu za co?

ZACIĄGALSKI.

Za komorne.

SPRAWÓNKIEWICZ.

A cóż u licha!.. trzeba było przynajmniej kómorne zapłacić...

ZACIĄGALSKI.

Widać że nie można było, bo możesz być pewnym że do tej ostateczności byłbym nie dopuścił.

SPRAWÓNKIEWICZ. *(patrzac z uśmiechem w oczy Zaciągalskiemu)* E... bo jegośność musi hulać... nie prawda?

ZACIĄGALSKI.

Ciekawym bardzo za co?

SPRAWÓNKIEWICZ.

W Warszawie... tyle okazij...

ZACIĄGALSKI.

ZACIĄGALSKI.

Kto nie ma pieniędzy, niema i okazij.

SPRAWÓNKIEWICZ.

Może grywasz w karty?

ZACIĄGALSKI.

Pięć lat już minęło, jak grałem w marmjasza na wsi z księdzem proboszczem po groszu do puli, i od tych czas jeszcze kart w rękę nie miałem, bo nawet w nie więcej grać nie potrafię.

SPRAWÓNKIEWICZ.

Może w billard? ulubioną grę Warszawskiej młodzieży.

ZACIĄGALSKI.

Będąc jeszcze w wojsku chciałem się grać w billard nauczyć i przy pierwszej próbie, kij wpakowałem pod sukno i w strachu żeby markier tego nie zobaczył, natychmiast wyszedłem, i od tam mię nigdy chęć do grania nie brała.

SPRAWÓNKIEWICZ.

Trónków wiem że nie pijasz żadnych.

Wieleż ty masz pensij?

ZACIĄGAŁSKI.

Dwa tysiące złotych rocznie....

SPRAWÓNKIEWICZ

Prawda że za cienko, ale przy żadnej oszczędności nie powinienbyś się był tak w długi poplątać.

ZACIĄGAŁSKI.

Mój bracie, najwprawniejszy Rachmistrz, nawet z Izby Obrachónkowej, niepotrafilby sobie z moją pensją poradzić, bo chcej tylko posłuchać. — Mam na papierze dwa tysiące złotych; ale jak ci to poprzednio już mówiłem czwartą część dla szanownych a licznych wierzycieli mi potrącają, więc mam tylko tysiąc pięćset złotych. Po odtrąceniu emerytury od całej pensyi, pozostaje miesięcznie złotych sto piętnaście. — Za pomieszkanie płacę złotych trzydzieści; służącej dwanaście; za drzewo dziesięć; za mleko dla dzieci, dziesięć; za

chleb, zwłaszcza że nie raz dzień cały chlebem tylko żyjemy, czterdzieści; od córki na pensij ośmnaście; studentowi który przychodzi uczyć chłopców czytać sześć; razem więc miesięcznie wydawać muszę i to z góry koniecznie złotych sto dwadzieścia sześć. A gdzież teraz inne pokarmy? obówie? pomijam już ubranie, bo ja zimą i latem w tém mondurzyku chodzę, żona w letniem szlafrocuku, a dzieci, niech Bóg zachowa.. A co bracie! teraz domyślasz się zapewne z kąd moje długi powstały?

SPRAWÓNKIEWICZ.

Dawno jesteś w Warszawie?

ZACIĄGALSKI.

Cztery lata..

SPRAWÓNKIEWICZ.

Jakże będzie, kiedy ci rzeczy sprzedadzą?

15

ZACIĄGALSKI.

Ha!.. będę bez rzeczy.

SPRAWÓNKIEWICZ.

Gdzież będziesz mieszkał?

ZACIĄGALSKI.

Ale!.. ale!.. miałem cię prosić żebyś mnie przyjął do siebie, na czas w którym zabawisz w Warszawie.

SPRAWÓNKIEWICZ.

Najchętniej... *(po chwili)* Wiele się należy gospodarzowi?

ZACIĄGALSKI.

Za pół roku, to jest: złotych sto ośmdziesiąt, leez z kosztami procesu i należnością dozorey, przeszło pięćset złotych się uzbierało.

SPRAWÓNKIEWICZ.

Ate rzeczy warteż są pięćset złotych?.

ZACIĄGALSKI.

Rok dopięro jak są sprawione, a kosztowały przeszło ośmset złotych i dla mnie są jeszcze dziś te pieniądze warte,

lecz na licytacji za parę set złotych pewnie wszystko zmarnują.

SPRAWÓNKIEWICZ (*zamysłony*)

Choćbyś wreszcie zapłacił za komorę to inni dłużnicy zajmą ci rzeczy.

ZACIĄGALSKI.

Przed innemi dłużnikami zasłoniłem się opozycją trzeciego, która tylko gospodarza odstraszyć nie może, bo on posiada przywilej na ruchomościach znajdujących się w mieszkaniu.

SPRAWÓNKIEWICZ.

I ty ani grosza nie masz?

ZACIĄGALSKI.

Nawet na dzisiejszy objad, bo Żyd książek nie kupił.

(*Wtem wchodzi Bezwzględnicki, Darnosiniński, Próźniakiewicz.*)

SCENA 16.

CIŻ BEZWZGŁĘDNICKI DARMO-
SINSKI PRÓŻNIAKIEWICZ.

BEZWZGŁĘDNICKI do Zaciągalskiego.

Czy Pan nie deklarujesz się zapłacić należności kómornianej i kosztów processu, co wszystko razem wynosi rubli srebrnych siedemdziesiąt ośm kopijek siedemdziesiąt pięć.

ZACIĄGALSKI.

Napróżno Pan mię o to pytasz, bo gdybym był w możności to zrobić, pewnie bym na pańską wizytę nie czekał (*Do Sprawónkiewicza*) Zaczekaj momentik przyjacielu, zaraz powrócę, pójdziemy razem na twoje mieszkanie.
*do drugiej stancyi Wychodzi.

SCENA 17.

GIŻ prócz ZACIĄGALSKIEGO.

(*Sprawónkiewicz stoi na boku zamysłony*)

BEZWZGLĘDNICKI (*do Darnoskiego*) Niech Pan weźmie protokół zajęcia i z kolei nam dyktuje zajęte ruchomości, a ja z panem Próżniakiewiczem taksować będziemy.

DARMOSIŃSKI (*wyjmuje pro-*

tokół i dyktuje) Szafa podwójna, jesionowa, fornirowana, politurowana, nowa.

BEZWZGLĘDNICKI.

Dwadzieścia złotych! (*Darmosiński każdą podyktowaną cenę, w protokule obok przedmiotu umieszcza.*)

DARMOSIŃSKI.

Biórko do pisania, z szafeczkami, sukniem zieloném kryte, z szufladkami, jesionowe, fornirowane, politurowane, zupełnie nowe.

BEZWZGLĘDNICKI.

Ośmnaście złotych!

DARMOSIŃSKI.

Kanapa, sześć krzeseł, dwa fotele jesionowe, zupełnie nowe, politurowane, fornirowane, na sprężynach, materją na niebieskiem dnie, w białe kwiaty kryte.

BEZWZGLĘDNICKI.

Szedziesiąt złotych!

DARMOSIŃSKI.

Stół jesionowy, fornirowany, przed

kanapą, kwadratowy, politórowany, nowy.

BEZWZGLĘDNICKI.

Dziesięć złotych!

DARMOSIŃSKI.

Stoliczek damski, jesionowy, fornirowany, z przegródkami, politórowany, z rzeźbą nowy.

BEZWZGLĘDNICKI.

Trzyście złotych, groszy dziesięć!

DARMOSIŃSKI.

Łóżko jesionowe, politórowane, masyw, nowe.

BEZWZGLĘDNICKI.

Pięć złotych!

DARMOSIŃSKI.

Łóżko olszowe, politórowane, już nie nowe, ale w dobrym stanie.

BEZWZGLĘDNICKI.

Trzy złote!

DARMOSIŃSKI.

Komoda jesionowa, fornirowana, z cze-

rema szufladami, nowa, z zamkami.

BEZWZGLĘDNICKI.

Piętnaście złotych!

DARMOSIŃSKI.

Lustro średniej wielkości, w ramach
złoczonych.

BEZWZGLĘDNICKI.

Pięć złotych!

DARMOSIŃSKI.

Cztery firanki muślinowe.

BEZWZGLĘDNICKI.

Piętnaście groszy!

DARMOSIŃSKI.

Już wszystko.

BEZWZGLĘDNICKI.

Zlicz Pan razem!

DARMOSIŃSKI. (*liczy po cichu
po przeliczeniu*) Sto czterdzieści dziewięć
złotych, groszy piętnaście.

BEZWZGLĘDNICKI.

Gdybyśmy nawet mało co więcej przez
licytację wzięli, to zawsze nam na koszt.

wystarczy. Zawołaj Pan Panie Próznia-
kiewicz dozorczy, ażeby asystował sprze-
darzy. (*Próżniakiewicz wychodzi*)

SCENA 18.

CIŻ prócz PRÓŻNIAKIEWICZA.

SPRAWÓNKIEWICZ (*do Bezwzględ-
dnickiego*) Gdyby można te rzeczy podłóg
taksy kupić, to bym je chętnie nabył.

BEZWZGLĘDNICKI.

O!... nie Panie; my nie nie możemy
z wolnej ręki sprzedawać. (*W tém wcho-
dzi Zaciągalski, Hanna, Rodzice i sześcioro
dzieci Zaciągalskiego, każde z nich trzyma ja-
kiś pakónek pod pachą, a za niemi postępuje
Józefka, z wypakowanem zawinięciem pościeli*)

SCENA 19.

CIŻ, ZACIĄGALSKI, HANNA, RODZICE,
DZIECI JÓZEFKA.

ZACIĄGALSKI.

Panie Sprawónkiewicz, daj nam klucz
od stancyi, bosmy się już ze wszystkie m
wybrali.

SPRAWÓNKIEWICZ (*na stronie*)

Biédny człowiek.. żal mi go serdecznie..
(*do Bezwzględnickiego*) Gdzie mięszka go-
spodarz?

BEZWZGLĘDNICKI.

Tu zaraz na dole, w tejże kamienicy.
(*Sprawónkiewicz wychodzi.*)

SCENA 20.

CIŻ prócz SPRAWÓNKIEWICZA.

HANNA (*na stronie.*)

O! mój Boże! jaka to hańba, którą bié-
dny człowiek bez winy musi ponosić!
(*Prześciański wchodzi.*)

SCENA 21.

CIŻ i PRZEZŚCIANSKI.

PRZEZŚCIANSKI (*do Józefki z furją.*)

Co ty masz w tém zawinięciu?

JÓZEFKA

Cóż mam mieć? pościel!..

PRZEZŚCIANSKI.

Pokaż!.. kto wie, może ty co z pod za-

jęcia wynosisz? (zdejmuje zawiniątko z Józefki i przegląda.)

JÓZEFKA.

Ciekawam co Pan znajdziesz?

HANNA.

Czyż się to godzi?... ażebyś Pan taki wstyd nam robił, jeszcze przy obcych ludziach?

PRZEZŚCIANSKI

Wiele się rzeczy nie godzi, a dla tego ludzie je robią, i za kórnorne nie godzi się być dłużnym, a dla tego Państwo winni jesteście.

ŚPIEWKA 3.

Wszyscy teraz obdzierają,
Czy to starzy, czy to młodzi,
Za grosz litości nie mają,
A tak przecież się nie godzi.

Żona z mężem żyje wiernie,
Jednak że ten w rogach chodzi.
I mąż żonę zdradza czelnie,
A tak przecież się nie godzi.

Panna skromną się wydaje.

Mową swoją dyskurs słodzi.

Mężatka się furją staje,

A tak przecież się nie godzi.

Córki matek nie kochają,

Wspólna zawiść w nich się rodzi.

Młodzi starych dziś nie znają.

I to także się nie godzi.

Kupiec w sklepie wino stawia,

Lecz go pierwszej wodą chłodzi.

I tam czymciś po zaprawia,

A tak przecież się niegodzi.

Gdy rewizji się spodziéwa,

Leśnik pienki po obchodzi,

Wszystkie mechem po przykrywa,

A i to się też nie godzi.

Zgoła gdzie człek puści uszy,

Każdy o cnoście dowodzi.

Lecz źle robi gdzie się ruszy,

A tak przecież się niegodzi.

(Sprawónkiewicz wchodzi.)

SCENA 22.**Ciż i SPRAWÓNKIEWICZ.****SPRAWÓNKIEWICZ.**

Panie Kómorniku! pofatyguj się do Gospodarza, już sprzedarzy nie będzie.

BEZWZGLĘDNICKI (*wychodząc.*)

Tém lepiej, byle mi tylko koszta zapłacono.

SCENA 23.**Ciż prócz BEZWZGLĘDNICKIEGO.****SPRAWÓNKIEWICZ.** (*do Bezwzględnickiego*)

Pozostań w domu zapłaciłem należność za komorne, i na rok cały zapewniłem ci takowe, lecz te rzeczy odtąd nie są twoją lecz moją własnością, i proszę wszystkie długi jakie masz i mieć będziesz, na swojej hipotece lokój, ale nie na moich meblach.

HANNA.**O! dobry Panie!****ZACIĄGALSKI.****Kochany przyjacielu! dług jaki obecnie**

zaciągam u Ciebie, nie na mojej hipotece,
ale w głębi serc naszych ulokowany bę-
dzie.

SPRAWÓNKIEWICZ.

Niema oczem mówić to zrobiłem co
każdy w mém miejscu zrobić by powi-
nien. (*Wszyscy uklonami dziękują Sprawón-
kiewiczowi, i wychodzą do drugiego pokoju.*)

(Kortyna zapada)

KOŃCZĄC KOMEDYJ.

POD LASEM

DRAMA W DWÓCH AKTACH

zarzągam n Ciebie, nie na mojej hipotece,
ale w głębi serc naszych ulokowany bę-
dzie.

Ciż i SPRAWONKIEWICZ.

Niema ożem mówić to zrobiłem co
każdy w mem miejscu zrobił by powi-
niem. (Wchodzi z łowami i kłami) spójrz
Tóm lepiej, byle mi tylko koszt za-
płaconu.

WYCHODZI.

Ciż przez BEZWZGLĘDNICZEGO.

SPRAWONKIEWICZ. (do Bezwzględniczego)

Pozostań w domu zapłaciłem nale-
żność za komornę, i na rok cały zape-
wniłem ci takowe, lecz te rzeczy natę-
nie są twoją lecz moją własnością, i pro-
szę wszystkie długi jakie masz i mieć
będziesz, na swojej hipotece lokój, ale
nie na moich meblach.

HANNA.

O! dobry Panie!

187

ZACIĄGALSKI.

Kochany przyjacielu! dług jaki obecnie

<http://rcin.org.pl>

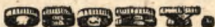
1860

1860

PALNICKI, Hrabia, Pan licznej włości.
JUSTYNA, jego żona.
MICHAŁINA, ich córka.

Z CHAŁUPKI POD LASEM

DRAMA W DWÓCH AKTACH.



PALNICKI, Hrabia, Pan licznej włości.

JUSTYNA, jego Żona.

MICHALINA, ich córka.

POGONICKI, Ekonom w dobrach Palnickiego.

PALKIEWICZ, herszt bandy złoczyńców,

BARDOS, jeden z bandy złoczyńców,

MORYLA, kochanka Palkiewicza,

WIKTOR, naczeczony Michaliny.

WYSLEDZYŃSKI, kapitan Żandarmów.

SKRYBCIŃSKI, wójt Gminy.

KAJETAN, służący Palnickich.

(Rzecz dzieje się we Wsi w dobrach Palnickiego.)

AKT I.

(W pokoju Palnickiego)

SCENA 1.

PALNICKI POGONICKI.

PALNICKI.

Czy już zapłaciłeś podatki należne ze wszystkich wsi Panie Pogonicki?..

POGONICKI

Co do grosza; alem téż proszę Jaśnie Pana wysprzedał z dwóch spichrzów pszenicę, bo to nie żarty trzydzieści tysięcy zapłacić. Samej fajerkasy kilka tysięcy... a prawdę mówiąc za budynki, które się ze wszech stron prawie obalają. Za spalony gajówek i pomorzanekę ręczę że Jaśnie Pan więcej weźmiesz z kassy, jak były przed spaleniem warte.

PALNICKI.

Widzisz że to dobrze wysoko dobra

szacować, jak się spalą to więcej się weźmie jak warte.

POGONICKI.

Czekać że podobnego przypadku, a przecieżich samemu palić nie można.

(Bardos wchodzi)

SCENA 2.

CIŻ I BARDOS.

PALNICKI *(do Bardosa)*

Skąd ty jesteś?

BARDOS.

Z chałupki pod lasem.

PALNICKI.

A... ha!.. masz list do mnie?

BARDOS *(oddając list)*

Oto jest.

PALNICKI *(czyta, po przeczytaniu do Bardosa)* Powiedz swojemu Panu, że dobrze. *(Bardos odchodzi)*

SCENA 3.

PALNICKI POGONICKI.

POGONICKI.

Ale... ale... miałem Panu powiedzieć

że widziałem w kancelarji powiatowej rozkaz napisany do nas, żebyśmy mieli na uwadze tych mieszkańców z chałupki pod lasem, bo na nich pada jakieś podejrzenie.

PALNICKI.

Ciekawy jestem jakie? Ludzie wprawdzie zagraniczni, ale paszporta mają, i przez wszystkie władze awizowane, a że im tutaj przez zimę mieszkać się spodobalo, to dla czegoż mają za podejrzanych uchodzić?

POGONICKI

Może być że i niesprawiedliwie ich posądzają.....

PALNICKI.

Nakazałeś Panie Pogonicki Sołtysom z Rawczyka, Krzakówka i Baszczaka ażeby z gromadami przyszli natychmiast, bo im mam pewne zlecenie rządowe ogłosić.

POGONICKI

Już są wszyscy proszę Jaśnie Pana,

<http://rcin.org.pl>

(*na stronie*) Ciekawy jestem po co. Przecież branka już była, z resztą gromad by na ten interes nie zwoływano. (*odchodzi.*)

SCENA 4.

PALNICKI (*sam*)

Dzisiaj Rawczyk, Krzakuwek i Baszczak., za parę tygodni resztę. Trzeba się po trochu pozbywać gałgaństwa, a w dobre się zapomódz. (*Justyna wchodzi.*)

SCENA 5.

PALNICKI JUSTYNA.

JUSTYNA.

Mój mężu, nie możnaby nakazać wszystkim gromadom, ażeby się po jutrze zebrały do Kościoła na nabożeństwo, zakupiła bym wotywę do Przemienienia Pańskiego, ażeby Bóg dobry odwrócił plagę jaką nas w przeszłym tygodniu nawiedził. To okropność jednego dnia zgorzał Gajówek, drugiego Pomorzanka. Ludzie nędzni nie mają nigdzie przytuł-

ku, naprzykrzają się o żywność i pomieszczenie.

PALNICKI.

Niech czekają, jak odbiorę z fajerkasy, to będę, nowe wsie stawiał.

JUSTYNA.

Kiedy ty odbierzesz z fajerkasy, kiedy będziesz stawiał nowe budynki, a oni dziś potrzebują pomocy.

PALNICKI.

Przecież ja nie wystarczę ich wszystkich nakarmić! Z resztą... możesz im kazać wydać ten groch co w spichrzuleży na kupie osobno.

JUSTYNA.

Który! ten stęchły! co to trzy tygodnie na deszczu leżał? co go to trzuda chlewna nawet jeść nie chciała?

PALNICKI (z gniewem)

Tak! tak! powiedz im jeszcze!... kiedy głodni to niech jedzą groch, któremu

wcale nie nie brakuje, trochę przytęchły i nieco zbutwiały.

JUSTYNA.

Ale dajesz pokój, mój mężu, wszakże sama słyszałam jak mówiłeś, że go trzeba w gnój wyrzucić, bo cały spichrz fetorem nappełnił.

PALNICKI.

Wtenczas kiedy to mówiłem niewiedziałem że moi ludzie będą wtakiem położeniu z tego z apetytem zjedzą... Moja żona trzeba umieć z zdarzenia korzystać, przecież ja od nich nie chcę pieniędzy, wiem że ich nie mają, ale każdego się zapisze...wiele wziął ćwierci i podłóg ceny targowej jaka będzie na wiosnę odrobiją u żniwa, albo u kosy.

JUSTYNA.

Ja tego nie słucham, bo tak się nie godzi.

PALNICKI (z gniewem.)

Idź że sobie moja kochana i ze skrupułami swojemi!..

JUSTYNA.

Pan Bóg tym nadgradza którzy są miłosierni dla nieszczęśliwych bliźnich.

PALNICKI.

Najlepiej zrobisz jak pójdziesz do dzieci, bo im będziesz mogła swoją naukę moralną wykladać.

JUSTYNA.

Kiedy to z tobą mój mężu, nie można tak jak się należy o niczym pomówić, zaraz się gniewasz... No i jakże będzie z tém co mówiłam?

PALNICKI (*opryskliwie.*)

Z czém?

JUSTYNA.

Czy będą mogli zgromadzić się do parafii włościanie na nabożeństwo.

PALNICKI.

Dajżesz mi pokój! bardzo cię proszę! módl się jak chcesz! idź sobie do Kościo-

ła! leż po całych dniach krzyżem! ale nie wdawaj mi się do tego, co nie należy do ciebie.

JUSTYNA

Przecież i ja jestem panią i mnie nie-szczęście poddanych, interessować po-winno.

PALNICKI.

Ty jesteś panią kądzieli, komina, gar-ków i dziewczynek.

JUSTYNA

Kiedy bo się gminnie mój mężu wy-rażasz.

PALNICKI

Za gminem się wstawiasz, więc two-jém ulubionym językiem do ciebie prze-mawiam.

JUSTYNA (*odchodząc*)

Rób jak chcesz, ale pamiętaj żeby cię Bóg nie skarał i żeby ci się wszyst-kie Wsie w dobrach nie po paliły. — (*odchodzi.*)

PALNICKI (*sam*)

Ha... ha... ha... to mię ztrwożyła swoją pogrózką. Niby to nie wysoko assekurowałem, ażebym się miał tej kary obawiać. (*Kajetan wchodzi.*)

SCENA 6.

PALNICKI KAJETAN.

Proszę Pana, pan Wiktor jedzie.

PALNICKI. (*z przyciskiem*)

No, to... przyjedzie! i czegoż raportujesz.

KAJETAN.

Pan kazał dawać znać, jak kto będzie zajeżdżał.

PALNICKI.

Idźże idź! lubisz dużo gadać.

(*Kajetan wychodzi.*)

SCENA 7.

PALNICKI (*sam*)

Wiktor konkuruje o moją Michalinę,

i nie źle by to było wydać ją za niego. Ma znaczne dobra na Wołyniu i tutaj, chętnie bym w nich moją spekulację zaprowadził, ale kiedy ci ludzie bez doświadczenia nie umieją sobie wniczém poradzić. Tak nisko budynki we wszystkich Wsiach za assekurował... że się wszystko na nic nie zdało. *(po chwili)* Muszę iść dopilnować, ażeby gromady się zeszły z tych Wsiów... co... bo jak pan Wiktor zagawędzi. *(wychodzi, po chwili Michalina wchodzi.)*

SCENA 8.

MICHALINA *(sama)*

Wiktor przyjechał, udam zadąsaną za to że nie był u nas przez tydzień, a nawet w czasie pożaru, a choćby i nie dla tego, to zawsze się trochę po gniewam; bo ja bardzo przeprosiny lubię. *(siada i książkę czyta, Wiktor wchodzi)*

SCENA 9.
MICHALINA WIKTOR.

WIKTOR.

Panna Michalina, coś bardzo ciekawego czyta?

MICHALINA (*jakby go dopiero spostrzegła*) A!.. Pan Wiktor... nie spodziewałam się dzisiaj jego wizyty.

(*Kładzie książkę*)

WIKTOR

Czyliż niepowiniennem był przyjeżdżać wszak na jedno wynosi?

MICHALINA (*biorąc książkę ze stołu*)

Kiedy pan załujesz swojej podróży...

WIKTOR

Ja nie żałuję, ale pani iaszėj wizyty pewnie się spodziewasz.

MICHALINA.

Dla czego nie?... alboż nikt już nie ma bywać u nas, dla tego że Pan Wiktor przestał.

WIKTOR.

Alboż ja przestałem?...

MICHALINA.

A prawda.... przepraszam.... nawet w tym tygodniu Pan byłeś kilka razy a ja...

WIKTOR.

Miałem gości w domu takich, których odjechać nie mogłem.

MICHALINA.

Zapewne już Panu wiadome nieszczęście jakie nas spotkało?.... ale i ja się też pytam oto, co najmniej Pana interesuje zapewne. Dwie wsi nam się spaliły, a szanowny sąsiad z pomocą nie raczył pospieszyć. A przecież to usługa sąsiedzka... z prawa należała...

WIKTOR.

Słowo honoru Pani daję tak nie a nie nie wiedziałem, dziś mi dopiero o tym powiedzieli i zaraz przyjechałem.

MICHALINA.

Pogorzalców odwiedzić.... proszę co za łaska!... takim sposobem możemy się

jeszcze trzech wizyt pańskich spodziewać, ale wtenczas jeżeli sześć wiosek jeszcze pozostałe, po dwie dziennie palić się będą.

WIKTOR.

Moja droga Pani! powiedz na co się to wszystko zdało.... wiem że masz dobre serce.

MICHALINA.

J dla tego też, Pan zbyt zaufany w jego słabości, lekce sobie ważysz przykrość jaką mu wyrządzasz.

WIKTOR.

Przepraszam Panią, już tego więcej nie zrobię.... Przrzekam Pani że od-tąd gdyby nietylko dwóch gości ale całe Prusy, Austria, wszystkie państwa nadreńskie, kraje zjednoczone zajęchały, porzuce ich w domu, a tutaj przyjadę choćby tylko dla tego, ażeby w podobnym humorze Panią nie widzieć.

MICHALINA.

No! na ten jeden raz przebaczam Panu, ale proszę żeby mi więcej tego nie było, bo za karę, całą godzinę do Pana słowa nie przemówię.

WIKTOR (*całując w rękę Michalinę*)

Po takim traktacie chciiej mi Pani pozwolić dziś pomówić z Rodzicami o mojem przyszłem szczęściu obszerniej.

MICHALINA

I... daj pokój dzisiaj Panie Wiktor... Rodzice są zmartwieni, niewiem ażeby nawet byli w humorze słuchania oświadczeń pańskich.

WIKTOR

E... spróbuję... albow to ja nie byłem żołnierzem? zdarzały się czasami przypadki że strona przeciwna w gorszym jeszcze była humorze, a dla tego na przebój szedłem i plac otrzymałem.... lecz na bok żarty... Ja w przyszłym tygodniu wyjadę na Wołyń i długo zabawię... niepokoiłbym się więc niepewno-

ścią losu mojego.

MICHALINA (*uśmiechając się*)

Niespokoiłby się... a długo chce ba-
wić...

WIKTOR.

Dawno tam niebyłem, a potrzebny je-
stem żeby do porządku przywrócić do-
bra po tych miłych dzierżawcach, bo do-
piéro pierwszy rok trzymam na sobie.

MICHALINA.

Ha!... spróbuj Pan... idź do Rodzi-
ców, ale zacznij pierwej od matki. —

WIKTOR.

Lecz jak świadectwo pani będzie mi
potrzebne to...

MICHALINA (*uśmiechając się*)

Zobacze... wtenczas... jak będzie po-
trzebne.

WIKTOR.

Spojrzyj mi Pani w oczy...

MICHALINA (*spoglądając*)

Ciekawam co Pan wyczytasz z mojego spojrzenia?

WIKTOR (*całując kilkakrotnie Michalinę w rękę*) Wszystko dobre dla siebie, Pani zdradzić siebie nieumiiesz za zbyt jesteś szczerą. — (*z ukontentowaniem odchodzi.*)

SCENA 10.

MICHALINA (*sama*)

Powiedziałam że gniew panny jest czasami potrzebny, zwłaszcza panny której Ojciec ma tak obszerne dobra. — Wstrachu żeby tych gniewów więcej niebyło poszedł się oświadczyć Rodzicom, czego bym mu przecież proponować nie mogła. (*Pałkiewicz wchodzi*)

SCENA 11.

MICHALINA PAŁKIEWICZ.

MICHALINA (*na stronie*)

Cóż to za galant?... pierwszy raz go widzę.

PAŁKIEWICZ (*na stronie*)

To zapewne córka Pana Palnickiego... wcale przystojna Panienska, cośma w swoich oczach tak nakazującego, że nie śmiem zbliżyć się do niej. A!... doli-cha ciężkiego! skądże takie tchurzostwo? alboż to nie córka mojego kolegi? (*zbliża się do Michałiny.*)

MICHALINA.

Pan zapewne maż interes do Ojca mojego? zaraz go pójde poproszę... Niech Pan będzie łaskaw siada. *wychodzi.*)

SCENA 12.

PAŁKIEWICZ (*sam patrząc za odchodzącą*) Pfu!... fu!... fu!... fu!... patrzaj jaka harda panna Palnicka... kłoby się tego spodziwał, zwłaszcza znając jej Ojca..... (*Palnicki wchodzi*)

SCENA 13.

PAŁKIEWICZ PALNICKI.

PALNICKI.

A!.. jak się masz kochany Panie Pał-

Tom IV.

18

kiewicz... *(z cicha)* Już kazałem zejść się gromadom do Wójta.

PAŁKIEWICZ.

Wiem o tém i dla tego też właśnie wszystko jak najlepiej poszło *(zdmuchując z ręki)* fu!... już nic niema...

PALNICKI.

Doprawdy?...

PAŁKIEWICZ.

U mnie wszystko tak idzie, niema się nadczém bawić... *(W tém wbiega zadyszany Pogonicki)*

SCENA 14.

Ciż i POGONICKI.

POGONICKI

Jaśnie wielmożny Panie!... nieszczęście!.. oczywista kara Boga!.. Nie martw się Jaśnie Panie! już się stało!.. cóż robić.—

PALNICKI.

Cóż się takiego zrobiło?.

POGONICKI

Rawczyk... Krzakówek... i Baszczak... ze

wszystkiém zgorzały. Gromady z samych chłopów, zebrane były u Wójta Gminy, niemiał kto ratować. Zwiatrem podpalono i jakby piorón trzasł wszystko się spaliło. Szczęście wielkie, żeś Jaśnie Pan kazał szopy na polach postawiać, i tam było, owce, konie, po wprowadzić, bo inaczej wszystko we dworze, tak jak i na wsi poszłoby w perzynę.—

PALNICKI.

Złożyć natychmiast gdzie należy rap-
porta.—

POGONICKI.

Ja sędzę Jaśnie Panie, że trzebaby naj-
wprzód obmyśleć schronienie, na parę
set osób, które teraz pod gołym Niebem
z dziećmi wtak słotnej porze, muszą się
znajdować. Ja myślę wziąć wszystkie
fornalki i przywieść z lasu drzewa na
kołki i chrustu, na wystawienie kilku
szop; słomy mamy dosyć, do pokrycia
wystarczy, a przynajmniej choć będą

na polu gotować to przed deszczem i zimnem jako tako się schronią.

PALNICKI.

Władne rady się nie wdawaj mój Panie Pogonicki... ja najlepiej wiem co i jak robić... Idź mówię rapporta przygotój i do podpisu przynieś.

POGONICKI (*na stronie*)

I znowu rapporta... a to szczególny człowiek; że by go tak nie nie zmieszało... proszę... przed kilką dniami dwie wsie się spaliły... Dzisiaj znów trzy, a on spokojny, rapporta każe mi pisać. (*spoglądając na Pałkiewicza*) Cóż to za elegant?... do naszej pauny zapewne przyjechał.

PALNICKI.

I czegoż Asan stoisz?... rób to co ci każe.

POGONICKI.

Chciałem jeszcze Jaśnie Panu przedstawić, jedną gwałtowną potrzebę.—

PALNICKI (*cierpko*)

Cóż takiego?...

POGONICKI.

Włóścianie z żonami i dziećmi z Gajówka i Pomorzanki, prawie już puchną od głodu... teraz znowu nieszczęście spowodowało nam na kark, biędnych pogoźelców z Rawczyka, Krzakówka i Baszczaka.

PALNICKI.

Rozdać im ten groch co w spichrze... leży na kupie.

POGONICKI.

Który?...

PALNICKI.

Który... niby to Wasan nie wiesz?.. E! dajiesz mi pokój... idź sobie z Panem Bogiem... taki jesteś... jak lukrecja nudny.—

POGONICKI.

Wszyscy poddani się nam porozcho-
dzą.....

PALNICKI.

Niech idą do licha! i Wasan możesz iść za nimi, nie jesteście mi teraz potrzebni... Jak wsie nowe wystawie, to zaraz znajdę ludzi zamożnych z inwentarzami którzy je zajmą i gospodarować będą, zwłaszcza że u nas grónta są dobre, jakich w okolicy niemasz. Mówię już trzeci raz Asanu... idź rapporta popisz i przynieś do podpisu.

POGONICKI *(na stronie)*

A już cię popiszę te rapporta... popiszę.
(klania się i odchodzi)

SCENA 15.

PAŁKIEWICZ PALNICKI.

PAŁKIEWICZ.

Przebrzydły gaduła, znudził mię na piękne; ja bym mu kazał ze sto knebli wbić w zęby, żeby u mnie służył. Ja mam z tobą dżo dopomówienia, a on na złość nudzi i nudzi.

PALNICKI *(ciągle pomieszany udaje wesolego)* Siadajże kochany Panie

Pałkiewicz, teraz już nam nikt nie przeszkodzi.

MUSZE JUŻ PAŁKIEWICZ.

Najwprzód zrobmy obrachunek z sobą.—

PALNICKI.

Właśnie miałem toż samo powiedzieć.

PAŁKIEWICZ.

Krótko bardzo skończemy. Pięć wsi już... po dziesięć tysięcy za każdą... pięćdziesiąt tysięcy za wszystkie; trzy jeszcze mamy... więc będzie trzydzieści. Czyli razem za spalone wsie i spalić się mające, ośmdziesiąt tysięcy mi od Pana hrabiego należy, i to baregelt, bez żadnego tłumaczenia i wykrętów na drodze sądowej.—

PALNICKI (*pomiészany*)

Ale... na ten rachónek... już coś ci dałem mój Panie Pałkiewicz?...

PAŁKIEWICZ.

Nie a nie nie pamiętam; ja biorę za-

wsze summy, okrągłe tak jak się zgodzi-
łem....

PALNICKI.

Przeszło dwadzieścia tysięcy, różnemi
czasami Panu zaliczyłem.

PAŁKIEWICZ.

Nie Panie hrabio, ja w żadne rachón-
ki się nie wdaję a jeżeli co wziołem to
na koszta podróży.

PALNICKI *(na stronie)*

Czy mię wszyscy djabli znim poplą-
tali! ani go się odezpię teraz. Sto
tysięcy gdybym był włożył wbudyn-
ki, bez wszystkiego byłoby się obe-
szło, *(do Pałkiewicza)* Dobrze... to już za
te pięć zapłacę, a z temi trzema je-
szcze się wstrzymaj.

PAŁKIEWICZ.

I owszem... ale mi zapłać podług zgo-
dy za nie... bo kontrakt na wszystkie
zrobiłem, a ja od warunków na krok od-
stępować nie myślę.

PALNICKI *(na stronie)*

Bodajże cię wszyscy djabli wzięli!... muszę już dać co chce, a może się go prędzej odczepię *(do Pałkiewicza)* kiedy mi niechcesz nic opuścić... to cóż mam robić z tobą... muszę ci zapłacić.

PAŁKIEWICZ.

Proszę o pieniądze.

PALNICKI *(otwiera dobiórka, wyjmując listy zastawne i takowemi odlicza... odrachowawszy oddaje Pałkiewiczowi)* Oto jest całe ośmdziesiąt tysięcy.

PAŁKIEWICZ *(ogląda, przerahowując i do kieszeni chowa)* Są wszystkie.

PALNICKI *(na stronie)*

Bodajesz je wychorował...

PAŁKIEWICZ *(rachując na palcach)* Mam ośmdziesiąt tysięcy w kieszeni... sto dwadzieścia w domu... u Pana Lichwiarskiego w Warszawie sto... u Lejbusia Fercel na franciszkańskiej ulicy sto razem trzykroć sto tysięcy, mam

czystego kapituła (do Palnickiego) słuchaj Panie Palnicki, kochany przyjacielu i szanowny kolego...

PALNICKI (z oburzeniem na stronie) Kolego!... (do Pałkiewicza) Cóż mi Pan powiesz?... słucham (na stronie) O! żeby go się można jak najprędzej pozbyć....

PAŁKIEWICZ.

Najlepszy i najzaciętszy wojak, potrzebuje po trudach spoczynku i w przypadku, gdy przed nieprzyjacielem zrejterować musi... fortecy. Dla tych samych powodów i ja właśnie potrzebuję miejsca swobodnego, bym mógł w niem po trudach odpocząć, a wraze niebezpieczeństwa schronić się bezpiecznie, a tem miejscem najdogodniejszym uważam twój pałac. Ażeby zaś fortecę obronną i warowniejszą dla siebie uczynić... wezmę twą córkę za żonę, którą mi, aż nadto jestem pewny odmówić nie zechcesz.

PALNICKI (*ztrwożony*)

Jakto?...

PAŁKIEWICZ.

Alboż mię jeszcze nie rozumiesz?... no to posłuchaj, jaśniej ci wytłomaczę. Ja jestem rozbójnikiem, a przynajmniej nim mię nazywają, a lubo tak znakomity współczności ludzkiej dziś stopień posiadam, przecież jestem człowiekiem i potrzebuję spoczynku. Chałupka którą mi pod lasem przeznaczyłeś już nie jest dla mnie dogodną... wreszcie, dla czegoż mam tak nędznie mieszkać, kiedy mnie podobni pałace zajmują, jak na przykład ty panie hrabio. Przytém potrzebuję miejsca obronnego, ażeby mi w czasie spoczynku, jaka zgraja policyjna nie przeszkadzała... a tutaj mieszkając w pałacu Pana hrabiego, zwłaszcza że słyniesz w okolicy z cnoty, widzę się być najbezpieczniejszym. Że zaś bywają zdarzenia, że swoi swoich

zdradzają, przeto dasz mi wkład swą córkę za żonę, a wtenczas będę spokojnym, bo Pan hrabia niechcąc wydać się przed światem, że zięć jego w nocy po gościńcach spaceru odbywa, będzie mnie bronił. Teraz mię pewnie rozumiesz?... dostatecznie ci się już usprawiedliwiłem z mojego żądania; wiem że go podzielasz, wszak prawda?

PALNICKI *w największym pomieszczeniu*) Mój Panie Pałkiewicz, żądasz odemnie rzeczy niepodobnych... przecież ci już nic winien nie jestem... zapłaciłem wszystko co do grosza... podług umowy... przestań mię przesładować... bomię w rozpacz, swą propozycją wprowadzasz.

PAŁKIEWICZ.

A to dla czego?...

PALNICKI.

Jakże znowu... chcesz żebym cię przy-

jął na mieszkanie i córkę moją dał ci za żonę?...

PAŁKIEWICZ.

A cóż wtém widzisz szczególnego.. powiedz mi mój Panie hrabio, w czem jesteś lepszym odemnie? a mieszkasz w pałacu. Kiedy się ty więc jeden, to i nas dwóch pomieścić zdoła, — pałac obszerny... Co zaś do twojej córki, to niespodziewam się ażebyś ją mógł więcej zrobić szczęśliwą jak wydając za swojego towarzysza... kolegę... przyjaciela... i to jeszcze tak zamożnego jak ja nim dziś jestem. A ty przecież chcesz pieniędzy i dla nich właśnie wsie kazałeś popalić.

PALNICKI (*zprzestrachem*)

Cicho!... tak głośno mówisz!..

PAŁKIEWICZ.

Kiedy się boisz, będę mówił cicho. Widzisz jakiego to posłusznego zięcia mieć będziesz, lecz jeżeli mię do swojego pałacu nie przyjmiesz i córki nie oddasz za

żonę wszystkie twoje korespondencje zemną prowadzone, kontrakt i inne anexa prześlę do najpierwszej władzy. Nie lękaj się omnie, bo ja wtenczas będę już bardzo daleko.

PALNICKI (*prawie z płaczem*)

Czyż się tak godzi... przecież jesteś podłóg umowy wynadgrodzonym.

PAŁKIEWICZ.

Najlepiej zrobisz mój Panie hrabio, jak przestaniesz mówić o tem, czego sam nie rozumiesz i ja pojąć niemogę. Właśnie téż pora teraz o godziwości dyskursu i jeszcze pomiędzy kim?... pomiędzy nami... prowadzić; to nie nasz język... ale niema nic dziwnego... pańska natura, ażeby koniecznie obcym mówić językiem. No i jakże?... bo ja interesuję zwykłym robić z kopyta, wszakże wiesz o tém, nie pierwszy dzień znamy się z sobą. (*Pogonicki wchodzi*)

SCENA 16.

CIŻ i POGONICKI (*z raportami w ręku*)

POGONICKI (*na stronie*)

Jeszcze ten Pan niepojechał sobie, wi-
dać że się oświadcza Panu hrabiemu, o
pannę Michalinę. Właśnie téż pora teraz
oświadczyni przyjmować, kiedy ludzie
z głodu umierają.

PAŁKIEWICZ. (*do Palnickiego*)

Panie hrabio, odpraw świadka, bo pod-
słuchuje naszą rozmowę.

PALNICKI (*zmiészany zoba-
czywszy Pogonickiego, do Pałkiewicza z cicha.*)
Dawno on tu stoi?!

PAŁKIEWICZ.

Dopiero wszedł... (*na stronie*) W dja-
blim strachu Pan hrabia... ha!... ha!..
ha!.. teraz pora... wtenczas łyka drą, kie-
dy się dadzą.

PALNICKI (*do Pogonickiego*)
z przyciskiem) I czegoż Asan chcesz?...
raz wraz mi się naprzykrzasz.

POGONICKI.

Jasnie Pan kazał mi rapporta do

władz popisać, o zaszłej pogorzeli... właśnie téż one przyniosłem do podpisu. (*Palnicki siada przy biurku i podpisuje, Pogonicki po jednym podając*) Ten rapport jest do Komisji spraw wewnętrznych i duchownych... Ten do Rządu Gubernialnego... Ten do Naczelnika wojennego... Ten do Dyrekcyi ubezpieczeń... a ten do Naczelnika powiatu. (*Palnicki podpisawszy wstaje, Pogonicki zbiera rapporta*)

PALNICKI.

Niech Asan porozsyła natychmiast!

POGONICKI.

Proszę Jaśnie Pana, Ekonomowie z folwarków spalonych, gdzie mają obrać sobie mieszkanie? ja myślę... czyby ich nie można w narożnikach pomieścić.

PALNICKI.

Doczêgo mi Ekonomowie teraz potrzebni? mogą sobie miejsca gdzie indziej poszukać, jak będę potrzebował, to na każde zawołanie, kopami ich znajdę.

POGONICKI.

Ale gdzież oni proszę Jasnie Pana miejsce otęj porze znajdą?... gdzie pozostawią żony i drobne dzieci? oni mają prawo o całoroczną pensję i ordynarję się upominać.

PALNICKI. *(z oburzeniem)*

To im Wasan zapłać! ze swojej kieszeni! bo co ja, to wcale tego robić niemyślę.

POGONICKI

Chłopów zwołałem do spichrza by sobie groch rozebrali, ale fetur nieznośny odpędził ich i powiedzieli, że wolą zgłodu umierać, jak brać taką zgniliznę.

PALNICKI. *(zprzyciskiem)*

Niech umierają!...

POGONICKI

Ale ja jestem proszę Pana najnie-szczęśliwszym... chłopstwo za mną gromadami chodzi i prosi bym Jaśnie Panu przedstawił ich nędzę. Oni myślą

że ja uJaśnie Pana posiadam głos rządcy.

PALNICKI.

I asan możesz się oddalić, wcale mi teraz nie jesteś potrzebnym, i najlepiej zrobisz jak sobie pójdiesz, a nawet t tém samém uwolnisz się od natręctwa chłopów.

POGONICKI. *(na stronie)*

Tego się spodziewałem i do tego przygotowany byłem. *(wzdychając)* Oj Panowie!... Panowie!... *(odchodzi)*

SCENA 17.

PALNICKI PAŁKIEWICZ.

PAŁKIEWICZ.

Wróćmy do swojego... No i jakże będzie Panie Palnicki.

PALNICKI.

Bój się Boga! miej litość!

PAŁKIEWICZ.

O!.. ho! ho! już zaczynasz śpiewać tę piosnkę? napróżno mój bracie... co dzień nasłucham się dosyć podobnych

trólów, które czasami możnaby nazwać dobraną orkiestrą, bo na różne głosy wśród strachu na gościńcu tony wydają... a dla tego nie przemówią do mnie, a teraz, w obliczu swojego kolegi, żebym się dał uprosić... to bym na mej reputacji stracił, zwłaszcza że już nie pospolitą rolę w tej sztuce odgrywasz. Alboż to niesłyszałem przed chwilą, jak postępujesz ze swojemi poddanemi i Ekonomami; ja to chwale; zniewieściałość i słabość serca, niecechują wielkości duszy mężczyzny. Dalej bracie kończmy nasze układy! czas ubiego, a tu ani chwili do stracenia niema.

PALNICKI. *(bardzo pomieszany)*

Przecież pozwól mi się namyślić... z córką rozmówić... trzeba ją do tego przygotować... z Zoną także naradzić się należy, a z nią nie tak łatwo da się zrobić interes.

PALKIEWICZ.

Dobrze... zezwalam, ale najwięcej dwie godziny czasu do namysłu ci daję, i ani minuty dłużej.

PALNICKI.

To za krótko....

PALKIEWICZ.

Co? krótko!... dla namówienia córki ażeby za mąż poszła, dwie godziny czasu krótko!... bardzo rozwlekłe mój bracie interesa prowadzisz; niewiele wskurasz w nowo-obranem zawodzie. Ja czasami w dwie godziny trzy wsie spalę, alboż ci niedałem tego dowody?...

PALNICKI (*niespokojny*)

No... no... dobrze... przyjdź za dwie godziny, a otrzymasz rezolucję.

PALKIEWICZ.

Tylko zamawiam sobie pomyślną bo odmownych wcale nie przyjmuję.

(*odchodzi.*)

SCENA 18.

PALNICKI (*sam, chodzi po pokoju rwie włosy z głowy z największą złością, potem staje*) Czy mię wszyscy djabli w taką łapkę wplątali! Cóż ja tu teraz zrobię nieszczęśliwy!... jak tu zaproponować żonie! zgubić samocheący córkę! zwłaszcza że tak do Wiktora jest przywiązana!.... (*Justyna wchodzi.*)

SCENA 19.**PALNICKI JUSTYNA.****JUSTYNA.**

Widzisz mężu; mówiłam ci że trzeba było nabożeństwo odprawić na odwrócenie karą uzbrojonej ręki Boskiej, kiedy to ty jesteś taki uparty... nie martw się jednak kochanie, wszystko to w ręku Boga, On dziś zabierze, a jutro nadgrodzi.

PALNICKI.

Przecież nie straciliśmy nic na tej pogorzeli. Towarzystwo ogniowe nam za-

płaci to , czego chałupy nigdy nie były warte.

JUSTYNA.

Już ja bym wolała tém się kontentować co było, aniżeli tém co będzie. Żony ekonomów z zgorzałych folwarków przyszły z płaczem do mnie, że im się wszystko w domach popaliło, nie mają czém dzieci posilić i gdzie się z niemi schronić. Kazałam wyprzątnąć narożniki i tam im się wprowadzić pozwoliłam.

PALNICKI (z gniewem)

Zawsze się wdajesz do tego, co do ciebie wcale nie należy!.. Natychmiast powyrzucać każe!... narożniki mi na co innego będą potrzebne.

JUSTYNA.

No... no... no... nie gniewaj się duszko, to ci za to powiem nowinę pocieszającą.

PALNICKI.

Daj mi pokój moja kochana! najlepiej zrobisz jak wszystkie nowiny scho-

wasz dla siebie, a przy mnie cały zarząd w dobrach zostawisz.

JUSTYNA.

A ja ci powiadam że się ucieszysz, jak ci jedną rzecz powiem, bo ją przeszło od dwóch lat już pragniesz.

PALNICKI.

Co było przedtém, to nie jest już teraz.

JUSTYNA.

Pan Wiktor się wtój chwili o Michalinę oświadczył, nie dałam mu stanowczej odpowiedzi i do ciebie się odwołałam.

PALNICKI (*w najwyższym stopniu zmieszany na stronie*) O! ja nieszczęśliwy! jak teraz postąpię!.. (*przybierając ton poważny*) I dobrze zrobiłaś, bo ja nie mogę na to małżeństwo zezwolić, gdyż już wcale komu innemu obiecałem jej rękę.

JUSTYNA (*zmieszana*)

Cóżeśty najlepszego zrobił?... to być w żaden sposób nie może! dziewczynę

by to w grób wpędziło! ona tak kocha Wiktora!

PALNICKI.

Już się stało... sami sobie winni że się nie pośpieszyli, bo dopiero niedawno, przed chwilą, moje przyrzeczenia dałem...

JUSTYNA (*w uniesieniu*)

Cóżeś miał za prawo rozządzać losem córki, bez mojego wspólnego zezwolenia i jej wiedzy? Ja na to nie pozwalałam!.. to być w żaden sposób nie może! i ja mam głos! alboż to nie jestem matką?... O!.. to już tego nadto. *(z szybkością wychodzi.)*

SCENA 20.

PALNICKI (*sam, patrząc za odchodzącą*)

Róbże tu co chcesz?... jestem teraz jak to mówią pomiędzy młotem i kowadłem. Na nie się nie zdała cała moja powaga mężowska, bo trudno mi będzie nakazać... jeszcze przez dwie go-

dziny czasu. Jak zacznie panna córka szlochać, matka mdląć, Pan kochanek rozpaczać, to na uśmierzenie tego wszystkiego i pół roku mało... a ten djabeł wcielony, dwie godziny mi tylko naznaczył... (*patrzy na zegarek*) już pół godziny upłynęło! wiem że mi czas prędzej zbiegnie, jak dłużnikowi gdy się swego wierzyciela spodziéwa, (*Michalina wchodzi.*)

SCENA 20.

PALNICKI MICHALINA.

PALNICKI.

— Jak się masz duszko?... cóż to, głowa cię boli?... takeś zmizerniała...

MICHALINA (*na wół z płaczem*)

Wiadomość jaką Mama od Ojca przyniosła w téj chwili, jakby piorómem w me serce ugodziła!... Ojczy! ja nie mogę być żoną innego, jak tylko Wiktora.

Tom IV.

20

PALNICKI (*zmiészany*)

Ależ duszko... ja bym chciał jak najlepiej dla ciebie.... Ty nie byłabyś z Wiktorem szczęśliwą...człowiek jeszcze płochy... Dobra znaczne wprawdzie posiada, ale zadłużone; dopiero co Rząd za podatki wytrzymał, niebawnie wierzyciele z długami wystąpią. — Pewnie na mnie rachuje że mu pomogę, wyliczeniem w gotówce twojego posagu; czego, sama widzisz, że w żaden sposób teraz zrobić nie mogę. — Wsie mi się spaliły, przede wszystkim trzeba odbudować nowe. — Ten zaś który się stara o ciebie i któremu już dałem słowo, posiada liczny majątek, jest człowiekiem bardzo zamożnym, wielkie stoją przed nim nadzieje, a nie pragnie nic odemnie jak tylko twej ręki;—przeto mu ją przyrzekłem.... i....

MICHALINA (*z oburzeniem*)

Komu!... może temu Jegomości co tu był przed chwilą? a niech że mię Bóg

broni! wolałabym się w ziemię zagrzebać! jak być żoną takiego szkaradnego człowieka! wszakże to twarz u niego jak u Rozbójnika.

PALNICKI (*bardzo zmieszany*)

Albożeś kiedy rozbójnika widziała?

MICHALINA.

Lecz wyobrażam sobie.

PALNICKI.

Co znaczą kobiece wyobrażenia; zresztą, ja tak chcę i tak być musi koniecznie.

MICHALINA (*z rozpaczą*)

O mój Boże! czegoż się to nieszczęśliwa doczekałam! (*kłęk przed Palnickim*) mój drogi Ojczy! żebrzę u nóg Twoich liłości!... odwołaj swój okrutny wyrok! bo on razem trzy ofiary: mnie i moją Matkę, bardzo do mnie przywiązaną i tego który mię kocha, miłością jakiej Ojcu opisać nie zdołam, na śmierć wskazuje!

PALNICKI (*podnosząc córkę, do siebie*)
 Co ja tu zrobię teraz nieszczęśliwy człowiek!.. (*do Michaliny*) Matka twoja ujrzawszy żeś z innym szczęśliwa, uspokoi się. Ty się Michasiu przyzwyczaisz, kiedy zobaczysz przywiązanego męża do siebie, a ten który cię teraz tak mocno kocha, ręczę że za pół roku inną będzie jeszcze moeniej kochał.

MICHALINA (*z rozpaczą*)

Więc nie mogę u nóg Ojca wyjednać łaski dla siebie?

PALNICKI.

Najsłuszniejsze dałem ci tego przyczyny.

MICHALINA (*wznosząc ręce w górę*)

O ja nieszczęśliwa!... po cóż żyję na świecie! (*wychodzi, za nią Palnicki wśród dzikiej rozpacz, rwiąc włosy na głowie.*)

(Kortyna zapada.)

MONTEZ AERT PETER WSEBEC,

AKT II.

(W chałupce pod lasem.)

(Teatr przedstawia izbę pustą. Parę stolików drewnianych i stół, jej zprzety stanowią.)

SCENA I.

MARYLA *(sama)*

Nie, nie daruję! jeżeli przekonam się że jestem zdradzona. Ja porzuciłam dom moich Rodziców! uwiedziona wielkimi nadziejami. Zawierzyłam człowiekowi którego cały świat ściga, a w chwili kiedy się o tém dowiedziałam, nie czas było błędu naprawiać. Wyrzucałam podejście, klęczał u nóg moich i zebrał przebaczenia!.. przysięgając być mi wiernym do śmierci. Lecz za ledwie rok upłynął aż owa obietnica, tak uroczyście wykonana, spełzła! i ja dziś, nie tylko że nie posiadam tytułu żony, lecz służącej nie

noszę znaczenia. Kilka krotnie go już chciałam odstąpić, ale bez funduszu... przez Rodziców znienawidzona i tém piętnem niegodném, że z rozbójnikiem rok żyłam, w duszy odcechowana, gdzieżbym przytułek znalazła?... Ale teraz!.. (*Bardos wchodzi.*)

SCENA 2.

MARYLA BARDOS.

MARYLA.

No i cóżeś tam wyszpiegował?

BARDOS (*nakazując cichość gestami*) Cicho!... stoi w sieni zamysłony, spogląda ku lasowi, do którego poszli towarzysze... zły ani na mię nie spojrzął, ale z towarzyszami długo rozmawiał po cichu, zdaje mi się że coś o ożenieniu Bandyta szeptał, o jakimś pałacu. Wszyscy aż skakali z radości, poczem odebrali rozkazy, i pospieszyli do lasu na gościniec krakowski, bo złożył rap-

port dziad przy drodze jałmużny pro-
szący, że żydzi będą przejeżdżać do Kra-
kowa po towary i mają mieć z sobą du-
żo pieniędzy.

MARYLA.

O ożenieniu!... gdzie?... z kim?... nie-
słyszałeś?

BARDOS.

Nic a nic niewiem, możebym był i co
więcej dosłyszał, ale się bał blisko na-
cierać.

MARYLA *(po chwili namysłu)*

Idź Bardosie i nie przychodź dopóki
cię nie zawołam, rozumiesz? —
(Bardos odchodzi)

SCENA 3.

MARYLA *(sama)*

Dosyć tego! chcę żyć spokojnie! Zre-
szta gdyby nie osobista nienawiść....
(Pałkiewicz wchodzi)

SCENA 4.

MARYLA PAŁKIEWICZ.

PAŁKIEWICZ (*do Maryli z furją*) I czegoż stoisz pruzniaku! darmo-
zjadzie!. czemuż się nie weźmiesz do ja-
kiej roboty he?

MARYLA.

Coż będę robiła?..

PAŁKIEWICZ.

A bindy żydowskie już z pereł obra-
ne?.. he!...

MARYLA.

Już....

PAŁKIEWICZ.

A gdzieżeś złoto podziała?

MARYLA.

Łapnikowi pod rachunkiem odda-
łam.

PAŁKIEWICZ. (*przedrzyzniając*)

Oddałam... i czegoż stoisz?... (*Maryla
idzie w głąb izby*) Gdzie idziesz?... stój tu-
taj! (*Maryla się wraca*) Idź do kómory!
tam jest pięć ornatów, zapal ogień
pod strychem naprzeciwko téj dziury co

to jest w dachu, spal je, a złoto po wybiéraj.

MARYLA.

Ja niewiem gdzie są schowane.

PAŁKIEWICZ.

Ty nie wiesz... o czemże ty wiesz?.. ty wiesz tylko jak siedzieć z założonymi rękami. Czemu ty sobie do djabła gdzie odemnie nie pójdiesz?

MARYLA.

Jeżeli chcesz tego, to i owszem.

PAŁKIEWICZ *(na stronie)*

Patrzaj jak się zgodziła zaraz, pewnie się już z kim bałamuci!... może ta niegodziwa nas z sekretu wydaje!... *(do Maryli)* Stój tu!.. ani kroku odemnie nie odchodź! czekaj aż Łapnik powróci, my i o tobie pomyślemy.

MARYLA.

Rób co chcesz.

PAŁKIEWICZ.

Rób co chcesz!... zkańd taka podufa-

Łośó, mówić mi „rób co chcesz!..” ja ciebie nauczę moresu.

MARYLA.

Jakże mam mówić?

PAŁKIEWICZ.

Zaraz... tylko Łapnik przyjdzie to ci powiemy. Stań tutaj! przy łózk! oganiaj muchy ze mnie, żeby mię nie kąsały, może trochę usnę. Ale ty myślisz że ja ci zaufam? nie... ty byś mi gotowa powędrować, ja wartę przy drzwiach postawię. Bardos!. Bardos!.. (*Bardos przychodzi.*)

SCENA 5.

CIŻ i BARDOS.

PAŁKIEWICZ (*do Bardosa*)

Stój tutaj we drzwiach i pilnuj! ażeby ta niegodziwa gdzie stąd z językiem nie poszła, dopóki Łapnik nie przyjdzie.

BARDOS.

Niechnoby się wyjść poważyła.

PAŁKIEWICZ.

Ja wiem że ty jesteś dobry chłopak,
to też tylko na ciebie i na Łapnika mogę
się nieco spuścić, i dla tego się kładę na
śmiało; trochę się prześpię, bo dzisiejsza
noc była djable pracowita. *(kładzie się na
łóżku, Maryla ogania muchy, Pałkiewicz w chwi-
li usypia.)*

MARYLA *(do Bardosa)*

Teraz już śpi! dobra pora!

Przetnę zdrajcy zaraz szyję.

Dawaj noża! lub topora!

Niech rozbójnik już nie żyje.

BARDOS.

Kiedy mi się jakoś zdaje,

Że bandyta nic nie chrapie;

Ej!... ej! patrzaj! pono wstaje,

A jak wstanie, to nas złapie.

MARYLA.

Nic się nie bój brzydki tehurzu,

Przecież że śpi, dobrze czuję,

Stoi topor na podwórzu,

Daj! po gardle go sprobuję.

BARDOS (*dając topór*)

Możesz w gardło chlasnąć śmiało,
Tylko silnie z całej duszy,
Będzie mu się lepiej spało,
Już go mucha nieporuszy.

MARYLA.

Stanij w oknie, pilnuj szczerze,
Patrzaj dobrze tam pod lasem,
Bo mnie jakoś tak, strach bierze,
By nas Łapnik nie z szedł czasem.

BARDOS (*patrząc przez okno*)

Tnij Maryło! Łapnik sadzi!
Niema chwili tracić czasu,
Niech cię bojaźń twa nie zdradzi,
Bo narobi się hałasu.

(Maryla wznosi topór w górę i z całej siły uderza nim w gardło Palkiewicza, potem na bok odskakuje.)

ZMIANA DEKORACJI

(Teatr przedstawia pokój Palnickiego.)

SCENA 6.

PALNICKI WIKTOR.

WIKTOR (*kłęcząc przed Palnickim*)

Najdroższy pani!.. odbierz mi życie!
kiedy mię z całego szczęścia obdzierasz..
bo ja kocham z duszy Michalinę, dla
niej żyć tylko pragnąłem. Zlituj się Pa-
nie! nie odpychaj mię od nóg swoich, bo
mi przeto śmierć okropną zadajesz.

PALNICKI (*na stronie*)

Żebyś ty wiedział, w jakim ja jestem
kłopotcie. Tylko że nie widać Pałkiewi-
cza, już dawno dwie godziny minęło. Żał
mi córki serdecznie, lecz cóż zrobię nie-
szczęśliwy? niepodobienstwo przecież na
oczywistą się hańbę narażać.

WIKTOR (*na stronie*)

Coś długo się namyśla, może się da u-
błagać, o! Boże natchnij go, bo mi chyba
pęknie serce od żalu.

PALNICKI (*podnosząc Wiktora*)

Nie mam nic przeciwko tobie mój Panie
Wiktorze, jestem twoim szczerym przy-

jacielem... życząc jak najlepszego szczęścia...ale w żaden sposób nie mogę na to zezwolić, gdyżbym dużo złego zrobił, albowiem musiałbym odmówić temu, któremu przyrzekłem.

WIKTOR (*stanowczo*)

Nie, ja na to nie pozwolę nigdy! wskaż mi Panie mojego Rywala! niech się dobi-
ja o pierwszeństwo zemną, który z nas
wygra ten będzie szczęśliwy....

PALNICKI (*na stronie*)

Właśnie też... chyba dla tego żeby się
prędzej wszystko wydało. (*do Wiktora*)
Nie, na żadne awantury pozwalać nie
myślę. Jesteś młodym, możesz sobie da-
leko świetniejszą karierę zapewnić.

WIKTOR.

O! mój Boże!.. dla czegoż mię tak su-
rowo każesz. (*Pogonicki wchodzi.*)

SCENA 7.

Ciż i POGONICKI.

POGONICKI (*wchodząc szybko do pokoju*)

Jaśnie Panie!.. już wiem!.. a przynajmniej się domyślam, kto nasze wsie popalił!

PALNICKI *(na stronie)*

Bodajcie kaci porwali i z twojemi wiadomościami.

WIKTOR.

No i któż taki?...

POGONICKI

Niezawodnie goście z chałupki pod lasem, bo widziano trzech jakichś Jegomości, którzy po zapaleniu się wiosek, uciekali polem i prosto do téj chałupki zmięrzali.

PALNICKI *(coraz bardziej zmieszany)*

Alboż to jest dowodem?..wszakże wiesz że koło tej chałupki, gościniec publiczny przechodzi, byź może że złoczyńcy którzy wsie popalali, uciekali koło tejże samej chałupki.

POGONICKI.

Kiedy mówiono proszę Pana, że przed

chałupkę zajechali.

PALNICKI.

Czemuż ich nie gonili i nie złapali?

POGONICKI.

Któż miał łapać proszę Jaśnie Pana? kiedy gromady były do Wójta zwołane.

PALNICKI.

No... a teraz przecież nie można bez dowodów posądzać.

WIKTOR.

Pozwól Panie, ja się udam do téj chałupki pod lasem i zręcznie poznawszy tych paniczów, wyrozumiem czy by oni to mogli zrobić, i jeżeli na jakie podejrzenie natrafę, obtoczyć każę chałupkę, zabrać wszystkich, a indygacja ścisła reszty dokończy.

POGONICKI.

Otoż to!.. to!.. byłoby najlepsze.

PALNICKI (*zawsze zmieszany*)

Na żadne burdy bez przekonania się, nie pozwalam, i proszę mi tego nie w spo-

minąć, bo mię to obraża. — (*Skrybcinśki wychodzi.*)

SCENA 8.

Ciż i SKRYBCIŃSKI.

SKRYBCIŃSKI.

— Jaśnie Panie! Kapitan żandarmerji, pod-officer i dwóch żołnierzy przyjechali na śledztwo. Poszukują oni jakiegoś Pałkiewicza, Herszta zbrojców który się ma w tych okolicach ukrywać. — Maja zrobić w każdym domu rewizję.

PALNICKI (*ztrwożony na stronie*)
 Podobno że się już teraz nie wywikłam!, musi się wszystko wydać!.. ja tego nie przeżyję! (*do Skrybcinśkiego*) Proś Pan ich tutaj, a naradzimy się wspólnie.. jak by najlepiej rozpocząć rewizję. (*na stronie*)
 Muszę dać znać.....

WIKTOR.

Ja im w poszukiwaniu będę towarzyszył. (*Wychodzi i Skrybcinśki za nim.*)

SCENA 9.

PALNICKI (*sam bardzo pomieszany*)

Muszę zaproponować rewizję od tego brzegu wsi... do karczmy... powiem że na karczmarza pada podejrzenie, o przechowywanie ludzi podejrzanych.—
(*Justyna wchodzi.*)

SCENA 10.

PALNICKI JUSTYNA.

JUSTYNA (*zmiészana.*)

Cóż to za wojsko na wieś przybyło?.. podobno dwa szwadrony żandarmów i półk piechoty, tak mi pokojówka mówiła że jej ktoś powiadał.

PALNICKI (*w najwyższym stopniu zmiészany.*) Co za wojsko!.. jakie szwadrony! co za półki!..

JUSTYNA.

Tak powiadam jak mi mówili.

PALNICKI.

Zle ci mówili i ty źle powiadasz!.. Kapitana, podofficera i dwóch żołnierzy:

dwoma szwadronami żandarmów i pułkiem piechoty zrobiła.—Wszystcy tylko aby straszili!

JUSTYNA.

Po cóż oni przyjechali?

PALNICKI (*cierpko.*)

Alboż ja wiem, idź ich się zapytaj.

JUSTYNA.

I ty spokojnie siedzisz w domu?.. nie wyjdiesz zobaczyć co to znaczy?.. po co przyjechali?.. przecież kwaterunku przyjmować nie można, ludzie i tak nieszczęśliwi, jedni drugich muszą żywić.

PALNICKI (*na stronie*)

Prawda że spokojnie siedzę w domu.. najgłówniejszemu mojemu nieprzyjacielowi tej spokojności nie życzę. (*do Justyny*) Był u mnie dopiero Skrybciński i mówił że będą poszukiwać jakichś ludzi podejrzanych, którzy się mają w mych dobrach ukrywać.

JUSTYNA.

To co innego... także mi powiedz... o! żeby ich znaleźli!..

PALNICKI *(na stronie)*

Nie wie, że tém życzeniem i maie zgrubę gotuj. *(do Justyny)* Nie sądze ażeby ich tu znaleźli.

JUSTYNA.

Chłopi podejrzenie mają na gości z chałupki pod lasem.—Bo nie wiem do prawdy mój mężu, dla czego ich trzymasz.

PALNICKI *(na stronie)*

Gotowaby się przed Kapitanem wymówić. *(do Justyny)* Nie powtarzaj że też haśni przez gmin utworzonych, jak można ludzi bez przekonania posądzać? — *(W tem wchodzi: Wyśledzyński, podoficer i dwóch żołnierzy.—Justyna wychodzi.)*

SCENA 11.

PALNICKI, WYŚLEDZYŃSKI,

Podoficer i dwóch żołnierzy.

WYŚLEDZYŃSKI.

Przybyliśmy tu w celu zrewidowania wioski Pańskiej, bo ma się w niej ukrywać, nie jaki Pałkiewicz herszt bandy rozbójników, ze swemi towarzyszami. Cały pułk piechoty i dwa szwadrony kawalerji, otoczyło wieś w około, a my rozpoczniemy najściślejszą rewizję.

PALNICKI *(na stronie)*

Zginałem! trzeba napić się trucizny! *(do Wyśledzyńskiego)* Nie spodziewam się ażeby moi ludzie przechowywali osoby podejrzane... ale.... z resztą...

WYSLEDZYŃSKI.

Musiemy jednakże odbyć rewizję... Jak Pan Hrabia uważa... zką zacząć...

PALNICKI *(na stronie)*

Teraz mi już wszystko jedno, kiedy wieś obtoczona. *(do Wyśledzyńskiego)* Ja myślę Panie Kapitanie... że najkpiej będzie od karczmy, z téj strony wsi, bo mam podejrzenie na karczmarza, czy on czasami jakich stosunków z podej-

rzanemi niemiewa.

WYŚLEDZYŃSKI.

Niech będzie i tak, wszystko dla mnie jedno, bo zawsze od kołka do kołka wieś przetrząśniemy.

PODOFICER.

Chłop mi jeden mówił przed chwilą, że mają wszyscy podejrzenie, na osoby które przemieszkują w chałupce pod lasem.

WYŚLEDZYŃSKI.

Ale!.. ale!.. cóż to za szczególne jakieś nieszczęście, że pięć wsi Pańskich prawie w jednym tygodniu się spaliło?

PALNICKI (*zmięszany*)

Zapewne... że nieszczęście...

WYŚLEDZYŃSKI (*do Podofieera*)

I ja tak myślę, że można będzie zacząć od tej chałupki i osoby w niej znajdujące się najwprzód wy badać. Nie utają się oni przed naszym wprawnem okiem, i je-

żeli tylko źle myśla, potrafiemy się poznać na wszelkich wykrętach.

PALNICKI (*nadzwyczajnie zmieszany*)

Ale... oni... nie są podejrzani... oni mają świadectwa... inaczéj bym ich nie trzymał.

WYŚLEDZYŃSKI.

I czegoż tu na wsi siedzą? jeszcze w tak odludnem miejscu, musi w tém być jakaś przyczyna. (*do Podoficera*) chodźmy!..

PALNICKI (*niewiedząc sam co ma robić w strachu*) Panie Kapitanie... może pozwolisz na małe śniadanko?.. i panowie... może także przekąszą? — Kawałek drogi od miasta... proszę... Justysiu!.. Justysiu!.. Niech Panowie będą łaskawii. —

WYŚLEDZYŃSKI.

Po pracy Panie... po pracy... będzie się zjadało smaczniej...

PALNICKI (*niepuszczając gości*)

Małą chwilę... wten moment śniadanko
zporządzą. Justysiu! (*Justyna wchodzi.*)

SCENA 12.

Ciż i JUSTYNA.

PALNICKI *do Justyny śpiesznie*

Panowie z podróży... zjedli by małe
śniadanko, posłji duszko na folwark, po
jędora i każ upiec dla Panów.

WYSLEDZYŃSKI.

Czy Pan znas żartujesz?... Jędora!
a kiedyż by to było?... chyba jutro byśmy
rozpuczeli rewizję.

PALNICKI (*zatrzymuje*)

Kiedy to wcale nie długo będzie.

JUSTYNA.

Każę się pospieszyć.

PALNICKI.

Zapewne duszko... każ... każ... Pano-
wie tylko ceremonję robią.

WYSLEDZYŃSKI.

Ale to w żaden sposób być nie może...
my musimy zaraz dopełnić danego zle-

cenia.— Z resztą jeżeli Pan tego chcesz koniecznie, to tak... suche, krótkie śniadanko; wódeczki, kawałek chleba...

PALNICKI.

No...to...żono, kaź dać szynki... ozora.. wódeczki... i tam co jeszcze. Niech Panowie siadają.

WYSLEDZYŃSKI.

Postojemy sobie... całą drogę siedzieliśmy na koniach....

PALNICKI.

Na koniu... nie wygodnie... tu na krzeselku wygodniej, proszę...

WYSLEDZYŃSKI (*siadając*)

I cóż tu więcej słyhać u Pana hrabiego dobrodzieja?... Słyszałem że pan Wiktor żeni się z córką Pana dobrodzieja... Chwała Bogu, będziemy mieli wesele....

PALNICKI.

Panna jest za nim, i ja nic nie mam

przeciwko niemu, bardzo dobry człowiek i nawet można, ale cóż z tego kiedy się niepośpieszył z oświadczeniem, ja dałem już słowo komu innemu pierwej.

WYŚLEDZYŃSKI.

Nie można by wiedzieć, kto tego szczęścia dostąpił?..

PALNICKI.

Tu... jeden... Jegomość z sąsiedztwa...

WYŚLEDZYŃSKI.

Przecież, któż taki?... znam prawie wszystkich obywateli w sąsiedztwie.

PALNICKI (*pomieszany.*)

Jest... w tem jeszcze... tajemnica.

WYŚLEDZYŃSKI.

A. . . kiedy tajemnica, to przepraszam.
(*Lokaj wnosi tacę i wędliny na półmisku.*)

SCENA 13.

Ciż i LOKAJ.

PALNICKI (*na stronie*)

Tak się prędko pospieszyli! (*do Lokaja*)
Przecież nakryli!.. co to za ludzie, trzeba

im wszystko przypominać.

WYSLEDZYŃSKI.

Nakrycie wcale nie jest potrzebne,
przecież my to jesteśmy żołnierze...

(Lokaj wychodzi.)

SCENA 14.

Ciż prócz LOKAJA.

WYSLEDZYŃSKI.

Zaczynaj Pan, Panie hrabio; nie ma
czasu i tak długo bawimy.

PALNICKI (*nalawszy wódkę
w kieliszek, do Wyśledzyńskiego*) Wręce Pa-
na Kapitana dobrodzieja.

WYŚLEDZYŃSKI.

Zdrowia dobrego...

PALNICKI (*wypiwszy nalewa
i podaje Wyśledzyńskiemu*)

WYŚLEDZYŃSKI (*do Podoficera*)

No, życzę ci Panie Wachmistrzu, aże-
byś zyskał dzisiaj, tysiąc pięćset rubli.

(*pije.*)

PODOFICER.

Życzę zdrowia, Panu Kapitanowi.

PALNICKI.

Jakich że to, tysiąca pięciuset rubli, spodziewacie się państwo?

WYŚLEDZYNSKI.

Za wzięcie żywcem Herszta, jest obiecana nadgroda, tysiąc pięćset rubli;—a za przyniesienie jego głowy... tysiąc.

PALNICKI (*bardzo zmięszany*)

Zapewne... że jest czego życzyć. (*Sierżant wypiwszy, nalewa wódkę żołnierzom. — Wtem wbiega z szybkością Pogonicki.*)

SCENA 15.

Ciż i POGONICKI.

POGONICKI (*zadyszany*)

Proszę... Jaśnie Pana... chałupka pod lasem się pali!

WYŚLEDZYNSKI (*żywo*)

Niezawodnie ją łotry zapalili! (*do sro-
ich*) chodźmy! (*z szybkością wychodzą, Po-
gonicki za niemi.*)

SCENA 16.

PALNICKI (*jakiś czas stoi zamysłony, poczem raptem przychodząc do siebie*.) Trucizny! trucizny! otruję się zaraz. (*chce się oddalić, wtém Maryla wchodzi.*)

SCENA 17.

PALNICKI MARYLA.

PALNICKI (*na stronie*)

Cóż to za kobiéta?... (*do Maryli*) Czego Asani chcesz?

MARYLA. (*obojętnie*)

Przyszłam po tysiąc rubli... niewiem kto mi je zapłaci?

PALNICKI.

Po jakie tysiąc rubli?

MARYLA.

Za głowę Pałkiewicza.

PALNICKI (*doznaje wielkiego wzruszenia*) A gdzie!... ona jest!!!

MARYLA.

Tu oto, w tym koszyku... — (pokazuje
Palnickiemu)

PALNICKI (zobaczywszy z przera-
żeniem nabok się cosa) O! Boże! co to zna-
czy!... kto mu ją uciął!

MARYLA. (objętnie)

Ja... sama...

PALNICKI.

Jakim sposobem?

MARYLA.

Bardzo naturalnym. Położył się spać
i kazał mi z siebie muchy oganiać, ja
mu też chcąc zabezpieczyć twarz od nę-
tręstwa much, wraz z głową odciąłam i
do koszyka schowałam.

PALNICKI.

A jego wspólnicy... gdzie się znajdu-
ją?—

MARYLA.

Wszyscy się rozpierzchli, i żaden z nich
pewnie tu nie wróci.

PALNICKI (z wzrastającym u-

kontentowaniem) A ten ogień co znaczy?
kto go zapalił?

MARYLA.

Jeden z bandy, ujrzawszy że Herszt
bez głowy leży.

PALNICKI (*na stronie w naj-
większej radości*) Dowody spalone!.. wraz z
świadkiem! a więc już niczego się nie
boję!... (*wznosząc ręce do góry.*—) O!..
Boże!.. przyrzekam Ci święcie! że wszy-
stkie wynadgródzę krzywdy i odtąd kie-
dys mi podała Twoją świętą rękę z drogi
cnoty nie zboczę. (*do Maryli*) Dobra ko-
bięto!.. ja ci tysiąc rubli zapłacę, ale
nie trzeba żebyś się wydawała, że byłaś
razem z zbrojcami. — Weź kamień, włóż
do tego koszyka, obwiąż dobrze i wrzuc
w Wisłę do licha.

MARYLA.

Zapewne że się niema czém szczycić;
zucę głowę do wody i z nią pamięć, zem-
cały rok z rozbojnikiem żyła. (*wychodzi*)

SCENA 18.PALNICKI (*sam*)

Ta kobieta uratowała mi życie!... (*po chwili*) Nie żałuję ośmdziesięciu tysięcy które Rozbójnikowi dałem... ani tysiąca rubli które kobiecie zapłaciłem, bo za to poznałem okropność wyrzutów sumienia i ciężar występków, gdy duszę obarczają. Potrafię teraz korzystać z łaski Najwyższego i prawdziwie szczęśliwy żyć będę na ziemi; a i o przyszłości także nie zapomnę. (*podskakuje z radości*) Tak mi się zrobiło jakoś lekko, zdaje mi się że most czterech ołowiu z sercatego zrzucił. (*Wyśledczyński wchodzi.*)

SCENA 19.

PALNICKI WYŚLEDZYŃSKI.

PALNICKI (*wesoły*)

A co! Panie Kapitanie! znalazłeś zbrodniarzy?

(*izchodzi*) WYŚLEDZYŃSKI.

Ani jednego.

PALNICKI.

Chwała Bogu!...

WYŚLEDZYNSKI.

Teraz Panie Hrabio na jędora zaczekamy.

PALNICKI.

Bardzo dobrze. Hej! nie ma tam kogo?.. (*Lokaj przychodzi*)

SCENA 20.

Ciż i LOKAJ.

PALNICKI.

Zawołaj mi najwprzód Pogonickiego, potem poproś Pani... Panny Michaliny i Pana Wiktora. (*Lokaj odchodzi.*)

SCENA 21.

Ciż prócz LOKAJA.

WYŚLEDZYNSKI.

Dużo też Panie Hrabio poniosłeś straty przez pożar?

PALNICKI.

Nie tak bardzo dużo... z resztą człowiek nie ostatnim groszem goni, a po-

mimo że wieś spalona, były assekurowane, nie wezmę z kassy ani grosza, swoim kosztem je odbuduję, a jeszcze bez pieniędzy nie będę.

WYŚLEDZYŃSKI.

Na co darować?

PALNICKI.

Nie lubię tych korespondencyi, tych częstych wizyt panów Budowniczych.—
(Osoby proszone wchodzi)

SCENA 22.

PALNICKI, WYŚLEDZYŃSKI, JUSTYNA, MICHALINA, WIKTOR, POGONICKI.

PALNICKI (do Pogonickiego)

Panie Pogonicki! otworzysz dwa spichrze jeden żytem, drugi zprzenicą i dwa zjęczmieniem. Każ odkopać dwadzieścia dołów kartofli i rozdaj to wszystko między nieszczęśliwych pogorzalców; niech się przez zimę mieszczą z drugimi jak będą mogli w tych wsiach, które nie są

spalone; zajmij się skrupulatném obliczeniem strat, jakie który z mieszkańców z tytułu pogorzeli poniósł i wierzytelne likwidacje najdalej w tygodniu, mają mi być złożone. Ekonomowie, Pisarze, Karbowi, Władarze i Polowi z wsiów zgorzałych, niech będą tutaj koło pałacu pomieszczeni, wypłacać im pensję i dawać ordynarje w całkowitości, jakie dotąd każdy z nich pobiérał; zatrudniaj ich czém możesz. Tobie zaś Panie Pogonicki, z powodu przymnożenia pracy, podwyższam pensję o tysiąc złotych wyżéj i dwadzieścia korec ordynarij.

POGONICKI (*klania się nisko, na stronie*) Czy Pan Bóg w niego wstąpił?... nie mogę przyjść jeszcze z podziwienią do siebie. (*Wszyscy wspólnie spoglądają po sobie z podziwieniem.*)

PALNICKI (*dalej.*)

Od dnia dzisiejszego, fornalki dwor-

skie i pańszczyzna ciągła, zwozić będzie drzewo do wsiów zgorzałych, na budynki włościańskie! możesz Acan już odejść i zarządzać podług odebranéj dyspozycyi, jak będzie potrzeba pieniędzy, proszę się zgłosić. (*Pogonicki kłaniając się wychodzi.*)

SCENA 23.

Ciż prócz POGONICKIEGO.

PALNICKI (*do Michaliny i Wiktora*)

Państwo młodzi smutni, żal mi was... myślałem że się na żartach poznacie, ale kiedy myślicie że ja prawdę dotąd mówiłem, więc was uwalniam z kłopotu błogosławieństwem, którego odemnie żądacie. (*biorąc ręce obojga*) Niech was Bóg łączy.

WIKTOR (*całując w rękę Palnickiego*) Mój dobroczyńco!...

MICHALINA (*toż samo*)

Nie oceniony Ojczel..

JUSTYNA.

Kochany mężu!...

PALNICKI (*do Justyny*)

Justyno!... na jutro podług twojego żądania, każę zapowiedzieć gromadom ze wszystkich wsi, ażeby się zeszły do kościoła, w którym odprawi się nabożeństwo, na uproszenie Boga, by nas uwolnił od klęsk podobnych i pobłogosławił naszym wszystkim dobrym zamiarom.

JUSTYNA.

O dobrze mój kochany mężu! wszyscy pojedziemy.

PALNICKI (*do Wyśledzińskiego*)

A teraz dobry kapitanie, po tak miłej pracy, pójdziemy skonsumować jedora; wiem że smaczno zajadać będziemy. (*wychodzą*)

(Kortyna zapada)

KONIEC DRAMMY.

SCENA I

(W Bychawie, mieście około trzy mile od Lublina, w mieszkaniu Siedziennickiego.)

MARGOSIA WOJTEK

SIEDZIENNICZY

Czegoż słysz z tą kłopotliwą ręką?

DAWNA GOSPODYNI

KOMEDIA

W JEDNYM AKCIE

ZE ŚPIÉWKAMI.

(Wchodzi Siedziennicki.)

Coż mi to będzie ładować, niby to w drodze wszystkiego nie dostaniesz...
wam też warto dogadzać... załóż Boże o którym chłopie dobrze słysiałem...
Najlepszy mam przykład z mojej Pani... z początku prawie miał

OSOBY.

-oo-

ŚLEDZIENNICKI, Urzędnik z okolicy
Lublina.

ANTONINA, jego żona.

JAN, pomocnik Śledziennickiego.

ANUSIA, dawna gospodyni Śledziennickiego.

MAŁGOSIA, służąca Antoniny.

WOJTEK, służący Śledziennickiego.

SWATKIEWICZ, Obywatel z okolicy.

(Rzecz dzieje się w okolicach Lublina.)

SCENA I.

(W Bychawie miasteczku, trzy mile od Lublina, w mieszkaniu Śledziennickiego.)

MAŁGOSIA WOJTEK.

WOJTEK.

I czegoż stoisz z założonemi rękami?

MAŁGOSIA

A cóż będę robiła?...

WOJTEK.

Alboż to twoja Pani nie kazała ci nie łądować dla Pana na drogę?... przecież już bryczkę nasmarowałem i zaraz zaprzęgać będę.

MAŁGOSIA

Cóż mu to będzie łądować, niby to w drodze wszystkiego nie dostanie?... wam téż warto dogadzać... żal się Boże o którym chłopie dobrze nawet pomyśleć. Najlepszy mam przykład z mojej Pani.... z początku prawie myśli

chciała odgadywać męża, uprzedzała każde jego życzenia; zgoła, była dla niego najlepszą żoną, a...

WOJTEK (*przerywając*)

Była dla niego najlepszą żoną... a teraz, czy już nią być przestała?

MAŁGOSIA

Daj Boże takich jak najwięcej żon; alboż ona umie być złą?... to niewinne dziecko?... doprawdy dziwuję się jój ojcu że taką młodą dziewczyninę wydał za takiego... Panie odpuść grzechy, ale zwyczajnie biedna sierota.. bez matki...

WOJTEK.

Alboż co mojemu Panu brakuje?

MAŁGOSIA.

Brakuje... jak brakuje; ale stary... brzydki... niewierny... i skąpy.

WOJTEK.

Niewierny, bo mu Tomasz na imię, — skąpy bo nic za nią nie dostał, co zaś do urody to wcale nie brzydki, żeby tyl-

ko niebył tak żółty na twarzy, i brzyd-
ko na człeka nie spoglądał, toby nie je-
go urodzie zażucić nie można było, a że
stary i niewierny, to już jedno z dru-
giego pochodzi.

MAŁGOSIA.

Pani biedna, po całych dniach płacze.

WOJTEK.

A cóż wy innego robić umiecie?

MAŁGOSIA.

Przytem zgrzędny i mantyka, bo czyż
się to godzi ażeby mężczyzna wdawał
się w takie drobnostki. Wystaw sobie
kiedy on rachunku słucha Pani, jak ty-
dzień gdzie zabawi, ze wszystkich szcze-
gułów i to tak, że Pani musi się wytło-
maczyć, nie ledwie z każdej kwarty mleka
którą od krowy przyniosą.

WOJTEK.

Już co to, to łzesz moja Małgosiu.

MAŁGOSIA.

Przecież ja zawsze muszę biegać po

wsi, jak się spodziewamy że nadjechać macie do domu i masło po chałupach u bab skupywać, ażeby miała co pokazać jak mąż przyjedzie, bo on chce by po jednej krowie masło robiła.

WOJTEK.

To to wy... tak mojego Pana oszukujecie!

MALGOSIA.

Krzycz że krzycz, głupiaku... gotów by usłyszeć, dopiórobym naważyła piwa.—

WOJTEK.

No to już kiepsko, kiedy żona zaczyna oszukiwać męża.

MALGOSIA.

Takie oszukaństwo nie jest grzechem.

WOJTEK.

Ale od łyeczka do żemyczka idzie... tak mój ojciec zawsze powiada. Kto wie może i ty nauczysz się od swojej Pani, i tak będziesz robić jak pójdiesz za chłopca?

o! gwałtu! już zaczynam być w strachu,
bo jakbym się kiedy.... przypadkiem....
ożenił z tobą.

MAŁGOSIA (*obrażona*)

Ożenił!... kiedy!... przypadkiem!... ot
wyniósłbyś tłumok na brykę a nie plótk
koszałek opalek. Widzisz go, będzie
się zemną żenił z przypadku jaki mi
gagatek.

WOJTEK.

I czegoż się drożysz? niby to ty jedna
tylko żyjesz na świecie; niebój się, jak
ino będziesz grymasiła, to sobie zaraz
innęj poszukam, ale to jak szkło dzie-
wuchy...

MAŁGOSIA (*z przyciskiem*)

A!.. poszukaj!.. niby to i ja także zna-
léć nie potrafię.

WOJTEK.

Ale ja zawsze przedzję.

SPIEWKA I.

Ja pojedę do Wrotkowa,
Tam mi ojciec córkę chowa.

I w Krężnicy mam dwie ładne,
Tak jak lalki piękne zgrabne.

W Zęborzycach z tamtej strony,
U sołtysa mam dwie żony.

Ale, może... jeszcze... kto wie,

Ożenię się w Czerniejowie.

W owiej karczynie pod Świdnikiem,

Karczmarz poił mię krupnikiem.

Jam na córkę patrzył zyka,

Prosto we drzwi do alkiérza.

I w Czechowie są we dworze,

Trzy dziewczuszki piękne, hoże.

Na plebanij, w konopnice,

Znam dwie ładne dziewczuszyce.

W Motyczu téż ładna wdowa,

Dwie pończochy rubli chowa.

Niech się tylko z nią ożenię,

Na kopiejki wszystkie zmienię.

A jak pójdę w dalsze strony,

Szukać sobie ładnej żony.

To zapomnę o Małgosi,

Która oczki nieraz zrosi

I pomyśli w duszy skrycie:

„Wojtek pędzi z drugą życie.

A ja że go mieć nie chciałam,

Dziwką starą pozostałam.”

MAŁGOSIA

O!.. nie turbuj się mój kochany, mam i
ja chłopaków, ale to chłopaków nie ta-
kich pewnie jak ty.

SPIEWKA 2.

W Głusku zaraz pod Lublinem,

Rzeźnik mię chce żenić z synem.

Brata daje szewc z Winiawy,

Krawiec mię chce tu z Bychawy.

I ten co wieprze skupuje,

Słoniną w jarmark handluje.

Dawno na mię już spogląda,

I żoneczką mieć swą żąda.

Spiasków młody ten leśniczy.

Także żoną mieć mię życzy.

A już pono mam trzy listy,

Od jednego organisty.

I dwa piękne pocztyljony,

Przysyłają mi ukłony.

Może pójdę za Huzara,
 Bo się wachmistrz o mię stara,
 A i Rotmistrz sięga okiem,
 Kiedy do dom wracam zmrokiem.
 Każdy prawie mię szanuje,
 Alboż mi to co brakuje?

Widzisz gapiu pusta głowa,
 Żeś zapomniat w gębie słowa,
 Próżno myśli w pomoc wołasz,
 Bó nie wyrzec już nie zdołasz.

(W tém slychać głos Anusi wołającej:)

Małgosiu!... Małgosiu!... *(Małgosia spoj-
 gląda w oczy Wojtkowi, śmieje się i z szybko-
 ścią wychodzi.)*

SCENA 2.

WOJTEK *(chwilę stoi zamysłony)*

I czegoż myślisz głupiaku? niby to o-
 na jedna na świecie... a zresztą, bo to pra-
 wda, że ona ma tyle kawalerów... *(bierze
 tłomak i wynosi, po chwili wchodzi Anusia.)*

SCENA 3.

ANUSIA *(sama, sprzątajac w pokoju)*

Oho... już ja sobie poradzę... nie będzie z téj mąki chleba, ażebyś ty miała dłużéj żądzić, niby to ja tego nie potrafię i niby tego już nie dałam dowodów.— Przecież dotąd jak najlepiej gospodarstwo prowadziłam, Pan był ze mnie we wszystkim zadowolony, a teraz go lichy podkusiło że się ożenił. *(po chwili)* Ale djabelnie się oszukał—ha!ha!ha! myślał że posag za młodą żoną otrzyma, bo, że miłości za grosz w jego sercu dla niej nie było, gardło bym dała; gdzież to podobieństwo ażeby w takiej zgróchotanéj skorupie, w takiej bryle gliny i bałwanie lodu, iskra czystéj miłości zatlała? ale Swatkiewicz go zdusił, wystawiając mu gruszki na wierzbie. On téż za groszem dałby się w sam środek piekła wprowadzić, bez dopuszczenia Boskiego oszalał i pomimo mojej rady i zbawiennych przestroóg ożenił się; lecz jestem pewną, że jak

prędko się to małżeństwo skojarzyło
 tak się prędzej jeszcze rozchwieje. ja
 wcale niepotrzebuję Pani nad sobą! ja
 sama chcę być panią koniecznie.

SPIEWKA 3.

Nikt nie lubi by kto drugi,
 Wdzierał się w prawa jego,
 Brał z przed nosa mu zasługi,
 A ja doczekałam tego.

Lecz nie długo tego będzie.

Mam ja mądry rozum w głowie,

Zostać panią mam na względzie,

Każdy pani w krótkce powie.

Na Panią się wy kieruję,

Alboż pani miny nie mam,

Każdy prawie mię szanuje,

Wszystkich strychnie w domu trzymam.

(Antonina wchodzi.)

SCENA 4.

ANUSIA ANTONINA.

ANTONINA (*zapłakana*)

Czy nie wiesz Anusiu, jak na długo mój mąż pojedzie?

ANUSIA.

Niewiem... bo od czasu jak Pan, tak, jakoś z Panią na bakier zostaje, nie mam serca słowa do niego przemówić, chyba tylko wtenczas, gdy mię interes do tego znagli konieczny.

ANTONINA.

Moja Anusiu, ja mam jeszcze nadzieję że mię będzie mąż kochał...

ANUSIA (*na stronie*)

Właśnie!.. a mój plan ułożony w co-by się obrócił? (*do Antoniny*) Pan ma ważne powody uienawidzenia Pani i dla tego nie miej próżnej nawet nadziei, żeby cię kiedy kochał.

ANTONINA (*wzdychając*)

Czy tak ci się zdaje, moja dobra Anu-

siu?...

ANUSIA.

Nie zdaje, ale tak jest w istocie. — Przecież Pan nigdy nie myślał się żenić, lecz Pan Swatkiewicz téj całej miłości i chęci do żenienia narobił. — Jak przyjechał ze swojemi projektami, jak zaczął przedstawiać Panu majątek z pięćdziesięciu tysięcy złożony, jaki na Panią po matce spada; tak Pana zdużył że wpadł w jakiś szal i w jednej chwili jakby zmysły utracił, pragnął mieć Panią za żonę, czyli jéj majątek w swoje ręce dostać i dla tego to wszystkich starań dołożył, ażeby jak najprędzej małżeństwo do skutku doprowadzić, bo przecież Pani wiadomo, że do karnawału czekać nawet nie chciał, tylko za indultem w awdencie się ożenił.

ANTONINA.

Prawda!.. Ja myślałam że przywiązanie jakie mi okazywał, tego pośpiechu stało

się przyczyna.

ANUSIA.

Nie przeczę że przywiązanie, lecz nie do Pani tylko do jęj pieniędzy. A że tych jak się pokazało potęm, nie było, przeto i owe przywiązanie zniknęło, i Panią teraz nie lubi, a nawet jak mówi... (*patrzę na końce palców*) jesteś dla niego ciężarem. Nieraz to mi aż żal serce przeszywa, bo takiej dobrej Pani któżby nie żałował?

ANTONINA.

O dobra Anusiu!... (*po chwili*) Przecież go nikt nie przyniewala a żeby żył z osobą której nienawidzi... niech mię odeśle do Ojca.

ANUSIA.

I ja tak myślę; żeby nawet wziął rozwód z Panią to byś daleko była szczęśliwszą. Alboż to kobięta tak młoda jak Pani (bo zapewne więcej nad lat ośmnaście mieć teraz nie będziesz) z tak pię-

knemi naukami...ładna...niemogłaby dobrej jeszcze zrobić karjery?

ANTONINA.

Nie myślę o niej, dla mnie już niema karjery na świecie.

ANUSIA.

To wszystko romanse moja kochana Pani, teraz na świecie inna jest kolej zupełnie. Póty żona ma obowiązek kochać męża, dopóki mąż jest godzien tego, to jest póki sobie u żony na to zasługuje; ale jak tylko obojętnie żyć z nią zaczyna, to i ona bez skrupułu tak... sobie... żyć może.

ANTONINA.

Nie mów tego.... bo mię obrażasz swą mową.

ANUSIA.

Trzeba Pani i o tem wiedzieć, że mężowie starzy są zazdrośni; kiedy spostrzegą że żonę ktoś drugi, a jeszcze młody uwielbia, to z całą zawziętością miłość się w nich odzywa.

ANTONINA.

Albo wzgarda....

ANUSIA.

Co tam wzgarda, niech się ją boi kobiéta która niéma nigdzie przytułku, i mąż dla niej jest całém schronieniem, ale Pani, gdybyś nawet nie do ojca, ale za guwernantkę gdzie poszła, to byś zawsze przyzwoicie się utrzymać mogła.

ANTONINA

Jakaż to opinja kobiety, która z mężem nie żyje?...

ANUSIA.

Taka sama jak męża, który swojém postępowaniem zniewala żonę, aby go odstąpiła... Ale!... ale!... miałam téż Pani nowinę bardzo zabawną powiedzieć.

ANTONINA (*smutnie*)

Cóż takiego?...

ANUSIA.

Pan Jan się zakochał w Pani, ale to na zabój, uboléwa ciągle nad jéj nie-

sześcieliwém położeniem...

ANTONINA.

Dajesz mi pokój i z podobnemi wiadomościami, gotowam się serjo na ciebie obrazić, jak mi co podobnego jeszcze kiedy powiesz.

ANUSIA.

A wcale niéma o co... Pani jeszcze nie znasz świata i jego zwyczajów, które dziś w najpiérwszą modę i elegancją się przemieniły. Młoda kobiéta kiedy idzie za starego męża, to pewnie nie w téj myśli, ażeby jak jego suknia dogodna do zdarcia mu służyła, ale...

ANTONINA (*przerywając*)

Ani słowa o tém więcéj! bardzo cię proszę. Nic podobnego nigdy słuhać nie myślę. (*Jan wchodzi.*)

SCENA 5.

Ciż i JAN.

JAN (*zobaczywszy Antoninę zmieszany*)

Sądziłem że męża Pani zastanę..

ANTONINA.

Jest w kancelaryi.

ANUSIA.

Ale!.. ale!.. muszę iść ładować bigos do faszki. *(odchodząc na stronie, zostawie ich samych może się zbliżą do siebie.)*

SCENA 6.

JAN ANTONINA.

ANTONINA.

I dla czegoż Pan nie idziesz do męża? mówię że jest w kancelaryi.

JAN.

Moja osoba tak jest Pani nieznośną, że nawet zcierpieć nie możesz, ażebym z nią był razem przez chwilę?

ANTONINA.

Bo Pan roznośisz wieści, których nawet nie chcę powtarzać.

JAN.

Ja?.. roznośę?... co?.. przed kim?... kiedy?...

ANTONINA.

Kiedy?... niewiem bom się o to nie pytała, gdyż takie wiadomości mię obrażają.

JAN.

Nie Pani; nie przed nikim nie mówiłem nigdy o Pani, bo szacunek jaki mam dla niej, tego by mi zrobić nie pozwolił.

ANTONINA.

Bardzo proszę ażeby w każdym kroku, wszędzie i w każdym miejscu, tenże szacunek Panu przewodniczył. *(co powiedziawszy spiesznie wychodzi.)*

SCENA 7.

JAN *(przez chwile stoi zamyślony)*
Niewiem czy piorun może silniej w serce człowieka uderzyć, jak jej słowa w téj chwili mię ugodziły. Proszę... jak stanowczo... z jaką powagą... jak dobitnie wyrzekła, tak, że ust otworzyć nie mogłem. O! przebrzydła gaduło Anusiu! bo wiem że nie kto inny, jak tylko ona, tych plotek narobiła, a przy-

najmniej byłbym się cieszył nadzieją.

ŚPIEWKA 4.

Człtek w nadziei życie pieści,
I nią przyszłość sobie słodzi,
W nadziei się rozkosz mieści,
Rzeczywistość w smutku chodzi.

Któż nadziei nie posiada?

Zbrodnia z cnotą onę głośzą.

Nieodpycha ją i zdrada,

Wciąż w nadziei nędza prosi.

Czy na tronie czy to w chacie,

Do nadziei każdy wzdycha.

Czy to w szczęściu czy po stracie,

Wciąż nadzieja się uśmiecha.

I ja jeszcze mam nadzieję,

Chociaż bardzo mię złajali,

Że Antosia się rozśmieje,

I mych cierpień się użali.

Trzeba jednakże iść do Pana Śledzien-
nickiego i poradzić się względem roboty,
którą mam uskuteczniać w czasie jego
nieobecności w domu. Niewiem dopra-

wdy co to znaczy? że im więcej kochać zaczynam żonę mojego Zwierzchnika tém mniej patrzeć mogę na niego. To.. tak.. jakoś... w stosunku odwrotnym wyrachować się daje. Niewiem czy tym stosunkiem wszystkie podobne regoły się rozwiązują? muszę się tych zapytać, którzy się zwykli w cudzych żonach kochać, ale chyba na przyszły rok jak do Warszawy pojedę. (*wychodzi, Śledziennicki wchodzi.*)

SCENA 8.

SLEDZIENNICKI (*sam, w płaszczu*)

Już miałem wsiadać na bryczkę, kiedy mi Anusia szepnęła do ucha, że ma do mnie pilny interes i żetakowy na osobności musi mi koniecznie powiedzieć... co by to było? ciekawym. (*Zdejmuje płaszcz Anusia wchodzi.*)

SCENA 9.

ŚLEDZIENNICKI ANUSIA.

ŚLEDZIENNICKI.

Cóż to za nowinę do udzielenia mi posia-

dasz.... tylko bardzo proszę nie nie wspominaj takiego co by mię z irytować mogło... bo wiesz że zaraz na wątrobę choruję.

ANUSIA.

Cóż ja temu jestem winną, że nie mogę inaczej, jak tylko zmartwić Pana, do czego Pan sam jesteś najgłówniejszym powodem.

SLEDZIENNICKI.

Jakto! ja?...

ANUSIA.

A jużciż Pan... że nie chciałeś słuchać rady wiernej swéj sługi i ożeniłeś się... a teraz ta żona zdradza Pana czelnie.

SLEDZIENNICKI.

Co!... zdradza?... jakto ona by się poważyła mię zdradzać!.. ja gotowem w jej piersiach sztylet utopić i w tym co-by się poważył żonę moją do zdrady namawiać.

ANUSIA.

Szkoda, doprawdy, tak pięknej i moralnej Pańskiej miłości.

SLEDZIENNICKI.

Bajesz mi nie stworzone rzeczy, których ja wcale nie rozumiem, bo ja miłości dla żadnej kobiety nie znałem i znać podobno już nie będę, ale... hańba jaką bymię okryła... (gdyż w całej okolicy nazwali by mię niedołęzą mężem) oburza krew we mnie i zemstę rodzi w mém sercu! tłumacz jaśniej, swoje oskarżenie!

ANUSIA.

Pan Jan, Pański pomocnik najszczęśliwszy jest wtenczas kiedy Pan wyjeżdżasz na kilka dni z domu, bo ma wolny czas do romansowania z panią, i...

SLEDZIENNICKI.

I... cóż?... dokończ tego i!... bo mię to i...najbardziej niespokojnym robi! i może pieniądze ze szkatułki mi biorą!— he?

ANUSIA.

Ale nie... i kontent że mu nikt nie przeszkadza.

SLEDZIENNICKI *(na stronie)*

Trochę odetchnąłem... byłem pewny że to (i) znaczy, że i do pieniędzy się Pańskich wkradają. *(po chwili)* Lecz i taka zdrada bezkarnie ujść nie powinna. *(do Anusi)* Jakto, widziałaś na swoje oczy jak romansowali z sobą?

ANUSIA.

Nie raz, i nie dziesięć.

SLEDZIENNICKI *(tonem poważnym)*

Pamiętaj, że jeżeli kłamiesz, to ty mi za to wszystko z czasem odpowiesz; to jest: musisz mi powrócić wyłożone kosztą, które ta okoliczność, w znacznej ilości za sobą pociągnie.

ANUSIA.

Nie boję się tego....

SLEDZIENNICKI.

Ale czemuż to od razu mi nie do-

niosłaś jakieś tylko spostrzegła? nie był-
 bym jej półczypeczka w przeszłym mie-
 siącu kupował w Lublinie, a szkoda ru-
 bla; lecz gdzie teraz wierną sługę, przy-
 wiązaną do Pana znajdzie na świecie?

ANUSIA.

Właśnie że z przychylności do Pana;
 nie chciałam go martwić i zdrowia Pań-
 skiego, które zawsze jest dla mnie dro-
 giem rujnować... myślałam że się to
 skończy tak... na niczem, lecz kiedy wi-
 dzę że się naprawdę do siebie zabiérają,
 a Pan na dni kilka wyjeżdża... w długiej
 obawie... po długim mówię wahaniu,
 musiałam się odważyć i powiedzieć to,
 co gdybym zataiła, wiecznie by moje su-
 mienie dręczyło...

SLEDZIENNICKI.

O!.. poczekaście!.. nauczę ja was po ko-
 ściele gwizdać! mam punkt do rozwodu!
 oho! teraz się już rozstaniemy!... co mi
 to poteni? cóż to za nią przemawia? ma-

jątek? albo co podobnego? gotowiby mi jeszcze moje zabrać pieniądze i w świat powędrować.

ANUSIA *(na stronie)*

Dobrze się jakoś interessa prowadzą.

— SLEDZIENNICKI.

Idź powiedz Anusiu Wojtkowi, żeby konie z tej bryczki wyprzągł, a założył do dużej! rozumiesz?

ANUSIA *(wychodząc)*

Rozumiem proszę Pana... *(na stronie)*

Pewnie i swoją miłą żonkę z sobą wywiezie... Chwała Bogu! będę znowu gospodynią! *(odchodzi)*

SCENA 10.

SLEDZIENNICKI *(sam)*

Tego jeszcze brakowało ażeby lejuność romanse pod moim bokiem prowadziła. Piękna wdzięczność, za moją troskliwość około jej zdrowia. — Zaraz po szluby przeprowadziłem jej szesnaście pudełek z

pigułkami Morysona i zacząłem ją podług opisanej metody kurować, a chociaż niechciała, wzbraniała się; mówiąc że jest zupełnie zdrową, to ja z troskliwości na przyszłość, przymusiłem by wszystkie pudełka wyżyła.— (po chwili)
 Gdyby przynajmniej owe pięćdziesiąt tysięcy były w istocie i gdybym je był odebrał, nie bym nie mówił, niech by tam sobie i romansowała. Lecz tak bez grosza i tylko moim kosztem, na moim chlebie, romansów prowadzić nie pozwolę.

ŚPIEWKA 6.

Pieniądz dla mnie tylko drogi,

Pieniądz życie moje słodzi.

Gdyby przyszło nosić rogi,

To z pieniędzmi nic nie szkodzi.

Niech mię żona nie zna wcale,

Niechaj wszystkich kocha czule.

Ja się na nią nie pozale,

Byle miała coś w szkatule!

Mówią ludzie żem nie znośny,
 Że się z żoną źle obchodzę,
 Mówią nawet żem zazdrośny,
 Że za żoną trop w trop chodzę,

A to kłamstwo, czelne baśnie,
 Ja pieniędzy potrzebuję,
 Ja o żonę nie dbam właśnie,
 Niech z wszystkiemi romansuje.

Byle posag mi wskazała,
 Byle rozkosz wlała w duszę,
 Lecz że moja nie, nie miała,
 Więc ją karać srogo muszę.

Bo ja na to nie pozwolę,
 By żoneczka z próżnym workiem,
 Na kochanka przy mem stole,
 Spoglądała czułym wzrokiem.

**Słyszę!... Jan nadchodzi! trzeba przy-
 brać minę potężną! jakąś bohateryczną!
 junakieryczną! matematyczną! logiczną!
 filozoficzną! medyczną! teologiczną! zo-
 ologiczną i mineralogiczną. (wchodzi Jan)**

SCENA II.**SLEDZIENNICKI JAN.****JAN.**

Czy prędko Pan wróci?

SLEDZIENNICKI.

A co Acpanu do tego! he?... *(na stronie)*
 Dobrze zacząłem.

JAN.

Ażebym wiedział, jakie czynności mam
 odrobić, przez ten czas za Pana.

SLEDZIENNICKI.

Uwalniam Acpana od wszelkich za
 mnie czynności... już ja sam za siebie
 wszystko odrobię!.. ja potrafię!.. ja nie
 potrzebuję pomocy!..

JAN.

Przecież ja jestem obowiązany z urzę-
 du Panu pomagać; mnie władza na ten
 cel zanomiowała.

SLEDZIENNICKI *(tupnąwszy nogą)*

Powtarzam Acpanu jeszcze raz, że się
 obejdę bez Waszego pomocy!

JAN.

...I dla czegoż się Pan tak unosisz?

SLEDZIENNICKI (*bardzo zirytowany*)

Ja się unoszę!.. ja się unoszę!.. ja się ca-
łe życie unosić będę!

JAN.

Ale dlaczegoż na mnie?...

SLEDZIENNICKI.

Na Acpana!.. bo Acpan jesteś!.. bo ja
Acpana nauczę!...

JAN.

Czego?

SLEDZIENNICKI (*porywa szpadę ze ściany*)

Jeszcze śmiesz mi się hardo stawiać!
tu w moim domu!... w moim majątku!...
na moim chlebie!.. wnoś się Acpan!...
bo cię tą szpadą na wskroś przebiję!..
tak jak ty usiłujesz przebić!... przebić!..
Wynoś... się!... nie gadam z tobą ani
słowa.

JAN. (*szdziwiony*)

Kogo ja usiłuje przebić?...

SLEDZIENNICKI.

Moje serce!.. swoim niegodnym czynem!..
 precz!... precz!.. (*otwiera drzwi i wyrzuca
 za nie wszystkie ruchomości Jana, poczem do
 Jana*) A teraz jak twoje rzeczy wyrzu-
 cone zostały.... tak i z tobą się zrobi.
 (*wymierza szpadę do Jana*)

JAN (*wychodząc*)

Doprawdy tak tego wszystkiego nie-
 rozumiem, i zrozumieć nie mogę.

SCENA 12.

SLEDZIENNICKI (*sam*)

A co... nie jestem zuchem?... czy nie
 umiem sobie dać powagi w domu? (*wiesza
 szpadę*) Niech no by mi się kto poważył
 co podobnego zarzucić. Wiem... słysza-
 łem... mówili mi to ludzie, którzy naj-
 bliższymi mnie byli, że moje nazwisko
 Sledziennicki przerabiają na tchurza;
 niech przyjdą, niech się napatrzą z jaką
 junakierją sobie postąpiłem... a co z żo-
 ną zrobię... ho!.. ho!... ho!...

(*wchodzi Anusia*)

SCENA 13.

SLEDZIENNICKI ANUSIA.

ANUSIA. (*z ulanym płaczem*)

Co ja też najlepszego zrobiłam, żem Panu prawdę powiedziała!... Teraz Pan Jan z największą złością, wyrzucał mi, że z mojej przyczyny jest nieszczęśliwym, a Pani obiecuje dokuczać, co łatwo może nastąpić... Pana po całych tygodniach w domu nie bywa...

SLEDZIENNICKI.

Nie turbuj... się nie z tego nie będzie... Iejmość dziś i to zaraz do Lublina do Klasztoru odjedzie. Miłego jej kochanka przed Sąd zaskarżę, do kryminału jeżeli się uda i nie wiele kosztować będzie wsadzę, a ją całe życie niewypuszczę z Klasztoru... Wolę tam za nią płacić, jak domu daleko większe przy niej wydatki ponosić. — Idź powiedz Pani żeby się zabrała ze wszystkimi swojemi gratami

notabene z temi, które od Ojca przywiozła, bo dziś do Lublina pojedzie, i tam raz na zawsze zostanie.

ANUSIA.

Jakże... razem na jednej bryeczce... przez całą drogę Państwo będą jechali? A... kto wie... cztery mile z tąd do Lublina... może się Państwo jeszcze przez drogę pogodzą.

SLEDZIENNICKI.

O... nie!.. nie!.. nic z tego nie będzie... ja jestem jak Żyd w tańcu uparty... obróć się do niej bokiem, ażeby widziała że z nią mówić nie chcę, a jak by i to niepomogło, to Wojtka w moim miejscu posadzę, a sam na koźle usiadłszy powozić będę. Idź i powiedz to co ci kazałem, tylko niech się długo nie bawi, bo ją i bez rzeczy w bryczkę zapakować każę, u mnie dzisiaj niema nic trudnego, gotów jestem Bóg wieńco zrobić.

ANUSIA.

Ale niewypada... jakoś... służyć... a-
żebym Pańską taką wolę, jego żonie do-
nosiła; lecz najlepiej zrobię, gdy oświad-
czę że Pau ma chęć widzenia się...

SLEDZIENNICKI (*prerzywając*)

Co to jest chęć!.. ja każę alboż nie je-
stem w całym domu panem?..alboż wszy-
stko nie moje? przecież ona nie swoje-
go tu nie wniosła. (*Anusia wychodzi.*)

SCENA 14.

SLEDZIENNICKI (*sam*)

Nie!.. nikt i nie mię teraz przebłaga-
nie potrafi!.. stanę się twardym jak ka-
mien!.. żadne łzy, proźby, zmiękczyć mię
nie zdołają! żebym wiedział że to nawet
śmiercią szanowna małżonka przypłaci.
Wielka rzecz... straszna szkoda... że je-
dna kobiéta kilka dni prędziej na tam-
ten świat pójdzie. A... niechże Bóg da
zdrowie temu Janowi, że mię z wielkie-

go kłopotu wyprzewadził; bo dawno się już chciałem darmozjada pozbyć z domu, lecz nie miałem do tego prawnych powodów... a teraz będę się żalił... gotowem nawet płakać na zdrożności żony przed światem. Będą mię wszyscy żalować i sprawiedliwość przyznają, że niegodną żonę z domu oddalił. O! to!.. to!.. to!.. to!... (*W tём wchodzi Antonina.*)

SCENA 15.

SLEDZIENNICKI ANTONINA.

SLEDZIENNICKI (*na stronie.*)

Niewiem jak rozpocząć? ale najlepiej krótko i węzłowato.

ANTONINA.

Czy masz do mnie jaki interes mężu?..

SLEDZIENNICKI.

Nie mężu! wcale mężem Asani nie jestem! niegodnaś piastować na sobie tak szlachetnego człowieka nazwiska! zchańbiłaś mi dom! wstydem okryłaś me czoło... ni-

czem dotąd nieskalane, teraz oczu na nikogo podnieść nie zdołam. Romansować! w domu! pod okiem męża! przy jego dostatkach!... z kim?... z Pomocnikiem jego... O! niegodna kobyłto!... za biéraj natychmiast swoje rzeczy, wywiozę cię do Lublina i za karę do Kłasztoru oddam. Dosyć tego!.. czas koniec temu wszystkiemu położyć.

ANTONINA (z godnością)

Możesz mię karać kiedy chcesz tego koniecznie, ale występku mi nie zarzucaj, bo tu nietylko o mię, ale o Ojca i braci mych idzie.

ŚLEDZIENNICKI.

Ojciec i bracia, tyle co i ty są warci!..

ANTONINA.

Bądź pewnym, że mój Ojciec nie powstydzi się mię przed ludźmi, tak jak Matka przed Bogiem, którą już lat dziesięć do siebie powołał i dla tego to jestem dziś nieszczęśliwą, bo nie było komu macie-

rzyńskiej rady udzielić. *(po chwili)* O co jestem oskarżoną?... oco?... bo właśnie swoim uszom wierzyć się boję...

ŚLEDZIENNICKI *(przez zęby)*

O co jestem oskarżoną... Udane niewiniątko... ona nie nie wie...

ANTONINA.

Może być że zbłądziłam... kto wie, może błędze, ale błędów swoich nie znam, bo któryż to człowiek swoje wykroczenia, uchybieniami nazywa?...

ŚLEDZIENNICKI. *(przedżyzniając)*

Uchybienia... wykroczenia... piękne mi takie uchybienia i wykroczenia; *(serjo)* to występki! zbrodnia!... ażeby z pomocnikiem męża, romans pod jego okiem prowadzić.

ANTONINA.

Doprawdy?... a któż ci taką wiadomość udzielił?

ŚLEDZIENNICKI.

Nie widzę potrzeby składać rachun-

ków przed tobą... dosyć że wiem o twoich haniebnych zdrożnościach.

ANTONINA.

Bądźże sprawiedliwym sędzią, kiedyś mi wskazał występki... współnika... pokaż mi oskarżyciela.

SLEDZIENNICKI.

Tak... zapewne... może ci się jeszcze tłumaczyć pozwolę?

ANTONINA (*z podziwieniem*)

Tłumaczyć!... przecież się niespodziewam byś mię tak dalece poniżał, a choćbyś tego chciał, to ja niepozwolę. Powiedziałam ci już że karę chętnie poniosę, kiedy ci się ją podoba wymierzyć, dla usunięcia mię z domu, ale dopóty nie zrobię tego, dopóty mówię opór silny stawiać twojemu żądaniu będę, dopóki mi oskarżyciela nie wskazesz.

SLEDZIENNICKI.

26*

A któżby inny jak tylko wierna, poczciwa i dobra sługa, która przez swoją prawdziwą przychylność, zdradę mi odkryła.

ANTONINA.

I ty się nie wstydzisz tego, żeś służącą tak zpodufalił do siebie, że ta śmie twą żonę przed tobą oskarżać, a jeszcze tak czelnie? SLEDZIENNICKI.

Wierna sługa, ma u mnie większe znaczenie, jak fałszywa Żona. (*Antonina nie odpowiadawszy nychodzi.*)

SCENA 16.

SLEDZIENNICKI (*sam*)

Niech Bóg da zdrowie téj mojej poczciwej Anusi, że mię uwolniła od niepotrzebnych wydatków. W Klasztorze zapłacę trzydzieści złotych miesięcznie i będę spokojny. (*po chwili*) Fortepian jest jój własnością... to prawda, Ojciec dał za niego dwa tysiące złotych, ale go niewydam. Niby to koszta na nią wyło-

żone téj summy nie dochodzą. Pigułki Morysona... pułczepczek w przeszłym tygodniu kupiony... w lecie kapelusz lyczkowy... parasolka płucienkowa... a samych trzewików przez rok, wiele zedrzyć mogła! to szczęście żem znalazł Szewca na wsi, który do jój nogi dobrał kopyto, ale gdyby mi przyszło kupować w Lublinie... O! już dawno fortepian mi się należy, mogę go śmiało bez obrazy sumienia zatrzymać. (*Swatkiewicz wchodzi.*)

SCENA 17.

ŚLEDZIENNICKI SWATKIEWICZ.

(*ŚLEDZIENNICKI (na stronie, zobaczywszy Swatkiewicza.)* Ręczę że z morałami przyjechał, ale jak nigdy, tak i teraz ich słuchać nie myślę. (*do Swatkiewicza*))

A! gość niespodziewany.

SWATKIEWICZ.

I może niebardzo przyjemny; bo jak słyszałem że mię nie lubisz... lecz mniej-

sza o to. No i jakże mi się masz szanowny Panie Sledziennicki?... Cóż to w podróż się wybiérasz i jakoś daleko z żoną, bo widzę brykę dużą pakują i Jejmość rzeczy swoje wynosi.

ŚLEDZIENNICKI *(obojętnie)*

Nie daleko... wyjeżdżam tylko do Lublina, i w krótcie, może jeszcze jutro powrócę.

SWATKIEWICZ.

I pocóż żona twoja, na tak krótki czas zabiéra wszystkie swoje rzeczy?

ŚLEDZIENNICKI.

Bo ona się tam zostanie.

SWATKIEWICZ *(z podziwieniem)*

Kto?... gdzie?...

ŚLEDZIENNICKI.

Ta o którą się pytasz, zostanie w Lublinie.

SWATKIEWICZ.

A to dla czego?

ŚLEDZIENNICKI.

Dla tego że ją mieć nie chcę przy

sobie, bo jest niegodną kobietą... ja ją zamknę w klasztorze.

SWATKIEWICZ.

Nie a nie tego nie rozumiem; bo cóż wręście masz za prawo do tego?

ŚLEDZIENNICKI.

Alboż nie jestem jój mężem?

SWATKIEWICZ.

Mężem!.. trzeba ci najwprzód rozumieć co to jest być mężem. Mąż dobry, jest lepszym od najtroskliwszego Ojca; nie tylko nie jest skorym w wymierzaniu kary, któraby mogła mu żonę w oczach świata z hańbić, ale nadto ukrywa jój wady przed okiem drugich, które jest bardzo przezorne i częstokroć więcej jeszcze widzi jak jest w istocie. A gdyby nawet, już w ostatnim przypadku, postęпки żony zaczynały być zatrważającami i zgubne skutki rokować mogły to mądry mąż, godnie odpowiadając swojemu powołaniu, rozsądnie w takim

przypadku postąpi... Ojcowskie udzieli przestrogi, o ile być może wzbrani towarzystw któreby ją zgorszyć mogły, a w ręście . jeżeli konieczną uzna potrzebę wywiezienia ją z tego miejsca, to i sam się razem z nią wydała, dla tego ażeby zbłąkaną bez pomocy nie zostawił. Lecz w rok po szluby, w którym to czasie nie mogłeś się nawet dobrze jeszcze rozpatrzyć w swój żonie, już ją znienawidziłeś i chcesz od siebie oddalić... to nie jest dziełem męża, ale tyrana! nie ojca, ale srogiemu ojczyma!

ŚLEDZIENNICKI.
Zbytnia moja troskliwość, popsuła ją właśnie.

SWATKIEWICZ.
Dla czegoż zbytnia?... właśnie, że ja nie trzeba było rozrzucić i do zbytku marnować, byłaby na czas dłuższy wystarczyła. Ale nawet niewiem kiedy była ta troskliwość zbytnia?

SLEDZIENNICKI.

Jakto?... zapomniałeś że jęj umyślnie w parę tygodni po szlubie, prosto z Krakowa, pomimo ścisłego zakazu naszych doktorów, zprowadziłem szesnaście pudełek z pigułkami Morysona, ośm pierwszego a ośm drugiego numeru i sam zawsze byłem przytomny, ażeby przeznaczoną liczbę wyżyła?

SWATKIEWICZ.

A co nie było wcale potrzebném, bo ona była daleko zdrowszą od ciebie.

SLEDZIENNICKI.

To téz właśnie troskliwość moją dla nięj dowodzi, że chciałem jęj zdrowie w przyszłości zapewnić.

SWATKIEWICZ.

Ja ci powiem męj panie Sledziennicki otwarcie, że twoja żona jest bardzo dobrą i cnotliwą kobiętą. Bo żebym ja był w jęj miejscu i żeby mię mąż wdwa tygodnie po szlubie, w miejsce innych

przyjemności małżeńskich, pigólkami Morrysona karcił, to bym uciekł od niego ; a tém czasem ona to wszystko zniosła cierpliwie... nigdy się przednikiem nie żaliła, atyżazato chcesz oddalić bez najmniejszej winy od siebie. Cóż jej zarzucić możesz?... czemuże ci ona tak przewiniła?...

ŚLEDZIENNICKI.

Romańs zaprowadziła z moim Pomo-
nikiem.

SWATKIEWICZ.

Któż ci to powiedział?... może kłam-
stwo?... może jaki podstęp?..

ŚLEDZIENNICKI (*przerywając*)

Ani podstęp! ani kłamstwo! bo osoba
która mi odkryła tajemnicę, dużo na tém
cierpiała i jedynie z szczeréj przychyl-
ności to uczyniła.

SWATKIEWICZ.

Któż taki przecie?

ŚLEDZIENNICKI.

Dawna gospodyni moja... Aunisia.

SWATKIEWICZ.

Pfy! wstydz się!... żeby zaś w tym wieku nie mieć rozumu i zdrowego rozsądku. Alboż to nie możesz przewidzieć powodów które skłaniają dawną gospodynię, do znieuwidzenia swej Pani w oczach jej męża? — przecież ona sama woli rządzić domem... być Panią w domu... wydawać rozkazy... i.....

SLEDZIENNICKI.

Dajże mi pokój z tém swoim i!... wiem że mię zawsze prześladujesz.

SWATKIEWICZ.

Kiedy się tak rzeczy mają, że nie chcesz żyć ze swoją żoną i pierwszeństwo dawnej gospodyni oddajesz, to ona się już obejdzie bez twojej opieki, albowiem owe piędziesiąttysięcy których ani spodzieliśmy się wyprocessować, przed kilkoma dniami, Stryi umierając: w testamencie

za prawą należność twej żonie przyznał, a obok tego zdziału jaki po tymże Stryju zrobi familja, wypadnie dla twojej żony z drugie piędziesiąt tysięcy. Będzie żyła szczęśliwie... wesoło i swobodnie na świecie, ale nie w klasztorze do którego ją godny małżonek odwieść zamyśla.

SLEDZIENNICKI (*na stronie*)

Co ja słyszę!.. moja żona będzie miała sto tysięcy majątku!.. a ja głupia i ośła głowa, chcę ją do klasztoru wywieść! (*do Swatkiéwieza*) Jakto... prawdę mówisz... że moja żona będzie miała sto tysięcy?..

SWATKIEWICZ.

Ja nie zwykłem nigdy żartować.

SLEDZIENNICKI.

I ty myślisz... że ja na prawdę się na moją żonę gniewam?... że ją chce rze-
czywiście do Klasztoru odwieść? wstydz się. Tak tylko nastraszyć ją chciałem, ale

gdzieżby moje serce na to zezwoliło, a-
żebym miał moją żonę więzić, dla jedne-
go niedowiedzianego głupstwa.

SWATKIEWICZ *(na stronie)*

No proszę! co to sto tysięcy zrobić po-
trafiły. *(do Sledziennickiego)* Jakikolwiek
był cel twojego postąpienia, zawsze na
pochwałę nie zasługuje, bo cóż na to
powiedzą domownicy?.. całe Miasteczko
i osoby w sąsiedztwie?.. dobrzy ją wy-
tłomaczą, źli dołożą by lepiej ją czernić
mogli, a rozsądni tobie winę tego wszy-
stkiego przypiszą. *(Antonina wchodzi)*

SCENA 18.

Ciż i ANTONINA.

ANTONINA.

A!... Pan Swatkiewicz... jakże mi się
Pan masz?

SWATKIEWICZ.

Zdrów do usług Pani, a jej zdrowie
w jakim że stanie się znajduje?

ANTONINA.

Nie w szczególnym (*do Sledziennickiego smutnie*) Już rzeczy zapakowane i jestem do podróży gotowa.

SLEDZIENNICKI.

Wstydź się!.. Toleczko! Tak to szanujesz przysięgę przy ołtarzu wyrzeczoną? doświadczałem tylko twojego do mnie przywiązania, ale widzę że się na niem zawiodłem, kiedy z taką spokojnością chcesz odemnie odjechać.

ANTONINA.

A tę spokojność, sprowadziło mi niego dne postąpienie twojej dawnej gospodyni.

SLEDZIENNICKI.

Natychmiast ją oddalę! jeżeli chcesz tego! ani jednej chwili w moim domu nie będzie! a nawet jeżeli sobie życzysz, Jana przeproszę i zatrzymam go przy sobie.

ANTONINA.

Co do Jana... to ani słowa nie mówię. On

sam nawet, jeżeli cokolwiek posiada ambicji, wrucić nie powinien, lecz dawna gospodyni niech już nią być przestanie.

SLEDZIENNICKI.

Ausiu!... Anusiu!... Anusiu!... Natychmiast zapłacę co się jej należy i oddalę od siebie.

ANTONINA.

Twoje dzisiejsze postąpienie bardzo mi dużo złego zrobiło.— Do Kościoła w niedzielę pójść nie będę śmiała, bo wszystkich oczy na mnie będą zwrucone!...

SLEDZIENNICKI.

Gotów jestem dom sprzedać i natychmiast z Bychawy się wyprowadzić i gdzie okilka mil, na przykład... do Puław na mieszkanie wyjadę. (*Malgosia i Wojtek wchodzi.*)

SCENA 19.

Ciż MALGOSIA i WOJTEK.

MAŁGOSIA (*klaniając się Sledziennickiemu*) Dziękuję Panu za służbę...

SLEDZIENNICKI.

Dla czego?...

MAŁGOSIA.

Kiedy moja Pani wyjeżdża, to ja się nie chcę przy dawnej gospodyni pozostać... ona już mi teraz robi pogroźki za przychylność do Pani, a cóż dopiero będzie później.

WOJTEK (*klaniając się Sledziennickiemu*) I ja Panu także dziękuję za służbę...

SLEDZIENNICKI.

A ty znowu dla czego?...

WOJTEK.

Dla tychże samych przyczyn, co i Małgosia.

SLEDZIENNICKI.

Nieturbujcie się moje dzieci, natychmiast odprawię dawną gospodynię. Anusiu!.. Anusiu!... (*Anusia wchodzi*)

SCENA 20.

Ciż i ANUSIA.

ŚLEDZIENNICKI (*zbiierając całą swoją odwagę do Anusi*) Proszę się natychmiast z domu mojego wynosić!

ANUSIA (*zdziwiona*)

(*Dla czego?...*)

ŚLEDZIENNICKI

Dla tego że ja tak chcę!..

ANUSIA.

Skądże taka prędką zmiana?... czemuże Pana obraziłam?

ŚLEDZIENNICKI (*tupnąwszy nogą*)

Niczem!... ale ja tak chcę!... i eóż mi zrobisz za to (*ciska z woreczkiem pieniądze na stół*) Masz za swoją usługę i w téj chwili się wynoś!

ANUSIA (*hionąc pieniądze*)

Cheć mi Pan przynajmniej...!

ŚLEDZIENNICKI.

Nic nie słucham!.. żadnej ekskuzy nie przyjmuję! w przeciagu pięciu minut,

żebyś w domu moim nie była.

ANUSIA (*na stronie*)

Cóż się u sto djabłów zrobiło?...

(*odchodzi*)

SCENA 21.

Ciż prócz ANUSI.

SLEDZIENNICKI (*na stronie*)

Najśmielszy wojak... na placu boju...
większego męstwa nigdy nie okazał... jak
ja wtój chwili.

WOJTEK (*klaniając się*)

Kiedy tak to się zostaną nadal u
Wielmożnego Pana.

SPIEWKA 8.

Teraz Wojtek już nie powie,
Że ma żone we Wrotkowie,
W Zemborzycach dziewczki zwiedzie
Bo tam więcéj niepojedzie.

WCzerniejowie tam gdzie Gminny,

Niech się zeni znią kto inny,

Bo ja mówię wiernie stale,

Żem nie myślał o niej wcale.

I w Czechowie tam we dworze,
 Chmara dziewczek nie pomoże,
 A i także w Konopnicy,
 Na plebanji dziewczki rzuć.

Do Swidnika nie pojedę,
 Niech zna karczmarz chłopców wade,
 Że i krupnik nic nie zdoła,
 Kiedy córka głupia, goła.

W Motyczu zaś tamta wdowa,
 Niechaj ruble swoje chowa,
 Chociaż stara, może kto wi...
 Kogo niemi do sie złowi.

Zgoła o nic niedbam wcale,
 Żadnej dziewczki już nie chwale,

Do Małgosi nazat wruce,
 I jej nigdy nieporzuce.

MAŁGOSIA (*klaniając się Antoninie*) I ja proszę wielmożnej Pani na służbie zostać.

(*śpiewka*) **SPIEWKA 9.**

Krawca niechce już z Bychawy,
 I gardze z Piasków Lesniczym,

Bo jak przyjdzie coś z Warszawy,
To on będzie zaraz niczém.

Organista niechaj grywa,
Kwitki na spowiedź pisuje,
Lecz niech mnie się niespodziewa,
I na próżno zakazuje.

I te ładne Pocztyljony,
Mało także u mnie znaczą,
Zamiast patrzeć swojej żony,
Za innemi w drogę skaczą.

Już Wachmistrza także niechcę,
Choć się patrzy na mnie mile,
Choć za uchem ładnie szepcze,
Lecz to wszystko jest na chwilę.

Niech się Żeznik w Głusku schowa,
Bo Małgosia go nie prosi.

Niech go zechce panna, wdowa,
A zaś Wojtek dla Małgosi,

(Wspólne uścisknienie)

(Kortyna zapada)

Koniec Komedji i Tomu czwartego.

DZIELA DRAMATYCZNE

Bo jak przyjdzie coś z Warszawy,
To on będzie zaraz niezem.

Organista niechaj grywa,
Kwitki na spowiedzi pisuje,
Lecz niech i mnie się niespodziewa,
I na próżno zakazuje.

I te ładne Pocztyljony,
Mało także u mnie znaczą,
Zamiast patrzeć swojej żony,
Ze innymi w śródzie skaczą.


Już Wachmistrza niechaj się
Choć się patrzy na swoje
Choć za uchem ładnie szepocą,
Lecz to wszystko jest na chwilę.

Niech się Żeznik w Głuski schowa,
Bo Matgosia go nie prusi,
Niech go zechce panna, wdowa,
A zaś Wojtek dla Matgosi.

(Wspólne uwieszenie)

(Kortyna zapada)

Komedia i Tomu czwartego



2919

III - IV